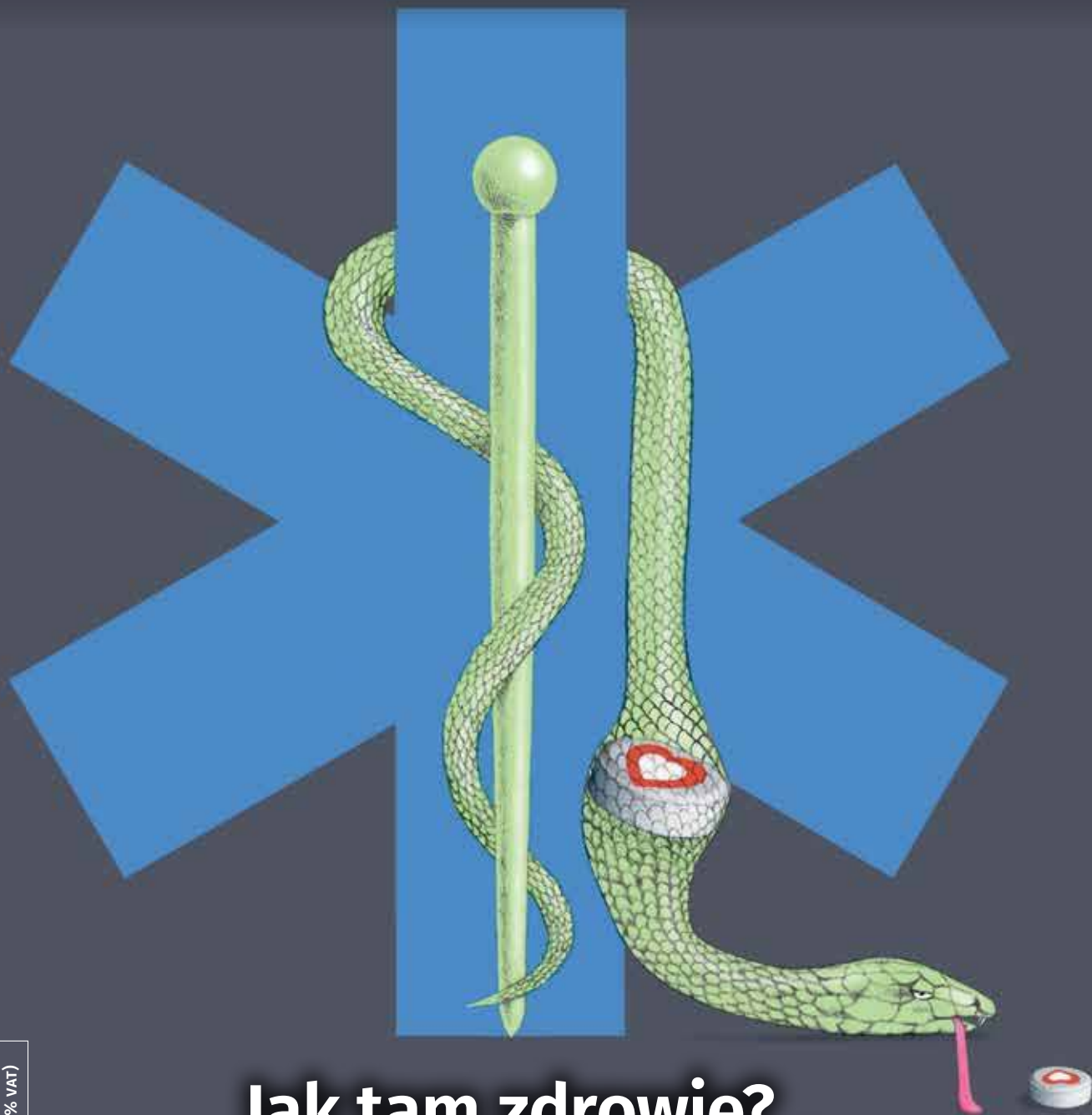


TYGODNIK

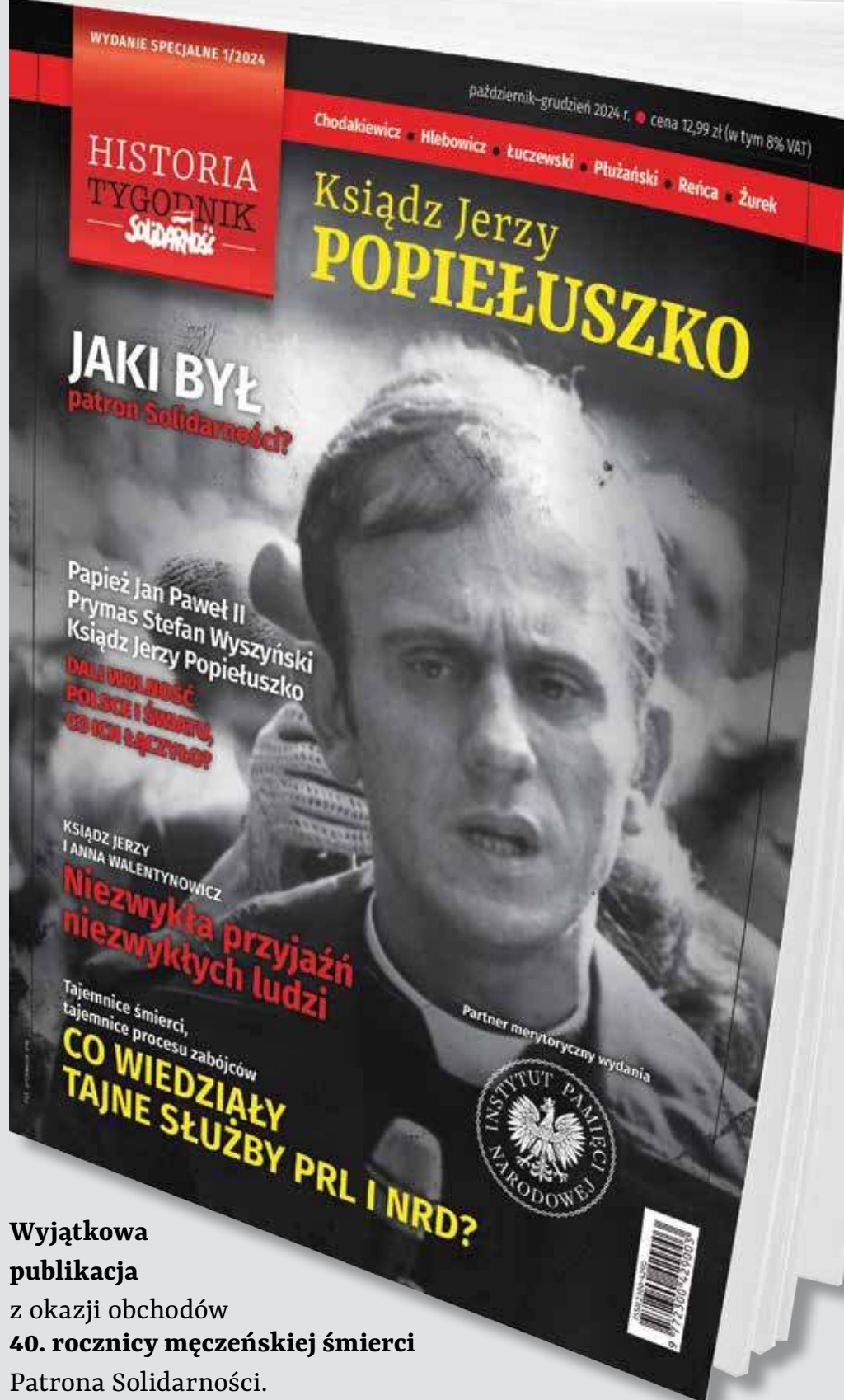
SOLIDARNOŚĆ



Jak tam zdrowie?

SZKODA GADAĆ...

- NASZA „ROZMOWA” Z PIŁSUDSKIM
- HUTA CZĘSTOCHOWA WALCZY O PRZETRWANIE



Wyjątkowa

publikacja

z okazji obchodów

40. rocznicy męczeńskiej śmierci

Patrona Solidarności.

Poznaj życie legendarnego **Duszpasterza Ludzi Pracy**

DO KUPIENIA NA

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

Oświadczenie redaktorów naczelnych „Tygodnika Solidarność” i portalu Tysol.pl

Wolność prasy jest jedną z fundamentalnych wartości demokratycznego świata. Próby jej tłumienia czy ograniczania zawsze muszą budzić sprzeciw i zaniepokojenie. Zwłaszcza jeśli próby te podejmuje szeroko rozumiana władza, która z założenia ma stać na straży prawa i porządku. Ochrona wolności prasy zapisana jest także w Konstytucji RP art. 14 oraz w ustawie Prawo prasowe.

Skandaliczna sytuacja, do której doszło podczas konferencji z udziałem premiera RP, zasługuje na stanowczy sprzeciw i głosy oburzenia. Liczymy na solidarny odzew całego środowiska medialnego, niezależnie od dzielących nas na co dzień różnic. Fakt, że nasza dziennikarka Monika Rutke, wykonująca swoją pracę, doprecyzowująca pytanie, na które w zasadzie nie odpowiedział premier Donald Tusk, została „ukarana” przez urzędniczkę w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów panią Agnieszkę Rucińską zakazem udziału w konferencjach premiera, jest absolutnym skandalem i świadczy o głębokiej dysfunkcji obecnej władzy w zakresie rozumienia podstawowych reguł demokratycznego świata.

O znajomości polskiej Konstytucji, na którą tak chętnie ta władza się powołuje, już nawet nie wspominamy. I nie mają znaczenia tutaj konkretne słowa, które padły. Czy była to wypowiedź wprost wskazująca na zakaz udziału w konferencjach, czy też – jak to tłumaczy pani Rucińska – cyt.: „Powiedziałam redaktor Rutke jedynie to, że nie będę się z nią więcej umawiała na możliwość zadawania pytań, skoro nie chciała zrozumieć, że ograniczał nas czas, za chwilę mieliśmy wylot samolotu i naprawdę nie był to moment ani miejsce na dokrzykiwanie dodatkowych pytań po tym, jak premier jej na pierwsze pytanie już odpowiedział”, liczy się to, że takie słowa z ust urzędniczki premiera polskiego rządu paść w ogóle nie powinny.

Nawet pobieżne przejrzanie materiału z konferencji wskazuje jasno, że nasza dziennikarka

zadała pytanie, na które Donald Tusk nie odpowiedział, w związku z tym zostało ono doprecyzowane, do czego dziennikarka miała absolutne prawo. Premier zresztą odpowiedzi udzielił. W związku z tym stwierdzenie pani Rucińskiej nie może zostać zinterpretowane inaczej jak próba tłumienia krytyki prasowej przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Brak stanowczej reakcji na tego typu sytuacji to przyzwolenie na łamanie podstawowych standardów demokratycznego świata. Nie jest to zresztą pierwsza tego typu sytuacja dotycząca obecnego obozu rządzącego. Najwyraźniej teraz do sekowanej przez polityków obecnej koalicji rządzącej Telewizji Republika dołączają „Tygodnik Solidarność” i portal Tysol.pl, których dzienni-

karze ośmielają się wykonywać swoją pracę, zadawać pytania premierowi polskiego rządu i domagać się na nie odpowiedzi.

O tym, jak bardzo dwulicowe jest podejście obecnej władzy do demokratycznych wartości, najlepiej świadczy fakt, że sprawa niewypuszczenia telewizji TVN na prywatną uroczystość organizowaną

przez Solidarność w 2019 r., ciągnie się do dzisiaj, a przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S” Piotr Duda do tej pory wzywany jest na przesłuchania w tej sprawie.

Nie zamierzamy zostawić tej sytuacji, rozważamy podjęcie kroków prawnych, w tym złożenie zawiadomienia do prokuratury, a także skargi do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Oczekujemy od premiera Donalda Tuska podjęcia zdecydowanych kroków w tej sprawie i dymisji pani Agnieszki Rucińskiej w związku z jej skandalicznymi słowami.

Michał Ossowski
redaktor naczelny
„Tygodnika Solidarność”

Cezary Krysztopa
redaktor naczelny
portal Tysol.pl 

Do sekowanej przez polityków obecnej koalicji rządzącej Telewizji Republika dołączają „Tygodnik Solidarność” i portal Tysol.pl, których dziennikarze ośmielają się wykonywać swoją pracę.

12.11.2024
WYDANIE Nr

46

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Kryzys
zdrowia
publicznego

8

To trzeba leczyć

12

Czy leci z nami pilot?

16

„Skok na kasę”. Kontrowersje wokół projektu ustawy o reformie szpitali

18

Pod pozorem luksusu

TYGODNIK
Solidarność

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS”
na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.comZastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:

Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21

Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec,
Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik,
Agnieszka Żurek

Feliety i komentarze:

Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Zdzisław
Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika
Małkowska, Magdalena Okrasa, Remigiusz
Okrasa, Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:

Andrzej Berezowski, Marcin Darmas,
Aleksandra Fedorska, Paweł Gabryś-
-Kurowski, Ewa Górka, Krzysztof Karnowski,
Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Jan Muś,
Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian
Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski,
Mariusz Stanisławski, Wojciech Stanisławski,
Jakub Szmít, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski

Łamanie:

Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto:

Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:

Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz,
Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:

Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska,
Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic,
Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik,
Anna ZgierskaArtykułów niezamówionych redakcja nie
zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz
zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:

Konrad Wernicki
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.

ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

KRAJ

Stop libkizacji PiS-u	22
Zamazywanie śladów rosyjskich wpływów	26
„A te skrzydła jak sztandary...”	30

GOSPODARKA

Dziedziczenie nierówności	32
---------------------------	----

STREFA KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO	36
-----------------------------------	----

ZAGRANICA

Wielki powrót	40
Zwycięstwo Trumpa – chwila prawdy amerykańskiego populizmu	44
Nostalgia ante portas	46
Czas na zapłatę za nierozliczone zbrodnie	49

HISTORIA

Byłem sam, zupełnie samotny... „Rozmowa” z J. Piłsudskim	52
---	----

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA	56
----------------------------	----

KULTURA

Warto wychodzić ze strefy komfortu. Rozmowa z E. Anyszką	58
---	----

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA	62
--------------------------	----

ZWIĄZEK

Co w związku	66
Huta Częstochowa walczy o przetrwanie	68

FELIETONY:

WOŚ	7
-----	---

OKRASKA	15
---------	----

GAC	21
-----	----

PEŁUŻAŃSKI	71
------------	----

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI	29
----------------------	----

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA	65
---------------------	----

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO	74
----------------------------	----

PRAWO	72
-------	----



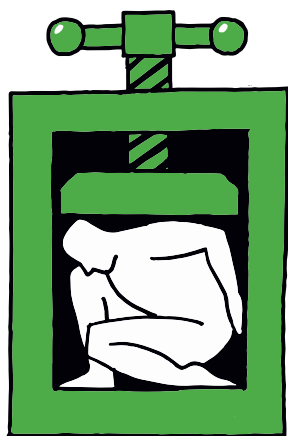
Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan
za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”
Odpowiedzi „Tak” lub „Nie”.

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

PODPISZ WNIOSEK O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU



ZATRZYMAJ ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ
Solidarność

NSZZ RI
Solidarność



Rafał Woś

Polska NIE JEST państwem z kartonu

Nie znoszę określenia „państwo z kartonu”. Irytowało mnie potwornie, gdy za czasów poprzedniego rządu sypali nim jak z rękawa przeróżni antypisowcy. Bardzo zadowoleni z siebie i swojego „genialnego” bon motu. Równie mocno denerwuje mnie teraz, gdy krytycy obecnej władzy wygadują bzdury o „dykie i sznurku”.

Takie gadanie jest bez sensu. Nie rozwiązuje żadnego problemu i nie wskazuje nawet kierunku, w którym należałoby iść, by nasze problemy rozwiązać. Przeciwnie, raczej demotywuje. Skłania do machnięcia ręką, bo przecież „w tym kraju nic się nie da”. Gorzej nawet. Pojęcie „państwa z kartonu” nie jest nawet trafnym opisem polskiej rzeczywistości pierwszej ćwiartki XXI wieku. A jeśli już coś nam mówi, to najprędzej o tym, jak niewiele wie i dostrzega wypowiadający takie opinie mądrala.

Bo prawda jest taka, że nasze państwo nie jest „z dykty”. Przeciwnie – mamy za sobą 30 lat szybkiego rozwoju, z czego ostatnia dekada po roku 2015 to był czas przekładania tego rozwoju na konkretne zdobycze państwa dobrobytu. Pod wieloma względami zaczęliśmy już przypominać realia rozwiniętych zachodnich gospodarek. Na niektórych polach państwa dobrobytu my nawet już ten mityczny Zachód przewyższamy. A i poprzednim dekadom (tym sprzed roku 1989) wiele mamy do zawdzięczenia na polach takich jak powszechna darmowa edukacja albo budownictwo mieszkaniowe.

To samo dotyczy zdrowia publicznego, o którym piszemy wiele w nowym wydaniu „Tygodnika Solidarność”. A piszemy krytycznie. To nie jest jednak narzekanie spod znaku, bo państwo jest z kartonu. Przeciwnie – już sam fakt, że my w Polsce domagamy się od władzy (każdej władzy), by zapewniała swoim obywatelom opiekę zdrowotną na wysokim poziomie i po przystępnej cenie (najlepiej darmową, ale na pewno nie za takie pieniądze, które rujną obywatela), jest dowodem tego, że Polska to nie żadna tekturowa republika. W kraju z tektury (czytaj takim, gdzie wszystko jest atrapą, a państwo nie wykonuje swoich zobowiązań wobec obywateli) ludzie niczego się od państwa nie domagają. Niczego nie oczekują. Wiedzą bowiem, że na nic liczyć nie mogą. U nas tak nie jest. My mamy oczekiwania. I bardzo dobrze, że je mamy. Bo mamy prawo je mieć! Owszem, system może nie dawać nam wszystkiego natychmiast albo w takiej ilości, jak byśmy sobie życzyli. Ale to nie jest przejaw tekturowości. Nie był nim za PiS-u i nie jest nim teraz. I miejmy nadzieję, że nie będzie.

Å propos tego, co będzie. Albo czego nie będzie. Musimy pilnować, żeby nie zabrano nam tego, co mamy. Rzecz w tym, by poziom zdrowia publicznego (oraz innych nie mniej ważnych elementów państwa dobrobytu) nie padał ofiarą kolejnych pokus oszczędności. Bo takie nadejdą. Nie wierzymy nawet, jeśli będą nam sprzedawane jako „konieczność” czy „racjonalizacja”. Nie kupujemy tego. Bo jeśli kupimy, to faktycznie możemy się cofnąć w rozwoju.

I dopiero wtedy argument o tekturowości będzie w mocy **S**

Temat Tygodnia

To trzeba LECZYĆ

– To już nie jest narastający problem. **To epidemia.** A będzie niestety coraz gorzej – alarmują kierowniczkę Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego. – Poważne problemy psychiczne wśród dzieci narastają, a rządzący nie potrafią bądź nie chcą zażegnać tego kryzysu – dodają. Ich opinie potwierdza opublikowany we wrześniu br. raport Najwyższej Izby Kontroli na temat psychiatrii dziecięcej.

Agnieszka Żurek

Depresja, samookaleczenia, agresja i autoagresja, prześladowanie w szkołach, przemoc domowa, zaburzenia odżywiania, lęki, fobie, wreszcie próby samobójcze – niestety także te udane – to wszystko dzieje się obecnie wśród dzieci, a – jak wskazują moje rozmówczynie na co dzień pracujące z najmłodszymi pacjentami – problem ten będzie narastał.

Samobójstwa drugą przyczyną zgonów nastolatków

„Samobójstwa stanowią drugą przyczynę zgonów wśród nastolatków, a liczba prób samobójczych podejmowanych przez dzieci i młodzież w Polsce ciągle rośnie. Jak podaje Komenda Główna Policji, na koniec 2023 r., w stosunku do 2020 r., o 150% więcej młodych osób próbowało odebrać sobie życie, a ich liczba przekraczała 2,1 tys. Oznacza to, że w roku 2023 każdego dnia w Polsce niemal 6 niepełnoletnich osób podejmowało takie próby, z których jedna prawie co drugi dzień kończyła się zgonem” – alarmują autorzy raportu Najwyższej Izby Kontroli pt. „Psychiatria dziecięca do poprawki”.



„W marcu 2023 r. w trzech województwach leczenie w ramach oddziałów dziennych w ogóle nie było dostępne. Kontrola NIK wykazała, że aż 42% poradni zdrowia psychicznego II poziomu (Pomoc w ośrodkach II poziomu referencyjnego adresowana jest do pacjentów, którzy potrzebują diagnozy lekarskiej i ewentualnie farmako-

terapii lub terapii na oddziale dziennym) znajduje się w miastach wojewódzkich, w których mieszka zaledwie 14% populacji dzieci i młodzieży” – dodają. Z tezę NIK o braku dostępności placówek zdrowia psychicznego zgadzają się moje rozmówczynie prowadzące poradnie oferujące taką pomoc w mniejszych ośrodkach. – Tym bardziej dziwi nas brak chęci finansowania tego typu placówek jak nasze. Jeśli je zamkniemy, dzieciaki na prowincji zostaną już zupełnie bez pomocy – wskazują.

Według raportu NIK, średni czas oczekiwania na pomoc w przypadku problemów ze zdrowiem psychicznym jest zatrważający. „Średni czas oczekiwania dla przypadków stabilnych w grudniu w latach 2020–2022 i w marcu 2023 r. wyniósł od 43 do 56 dni, a maksymalny czas oczekiwania oscylował między 568 a 731 dni. W przypadkach pilnych na przyjęcie do poradni trzeba było czekać maksymalnie prawie rok. W powyższych okresach wzrastała też liczba osób oczekujących na objęcie leczeniem. Od końca 2020 r. do marca 2023 r. odnotowano wzrost o ok. 10 tys. osób, czyli o ponad 100%” – podają kontrolerzy NIK. Autorzy opracowania wskazują także na powszechnie występujący w placówkach zdrowia psychicznego problem nadużywania środków przymusu bezpośredniego i inne przejawy naruszania godności pacjentów. „W każdym szpitalu objętym kontrolą stosowano przymus bezpośredni wobec pacjentów (dzieci i młodzieży) z naruszeniem przepisów regulujących tę ingerencję w sferę wolności człowieka oraz zasad jej dokumentowania. Przestrzeganie tych zasad jest szczególnie istotne w kontekście dolegliwości tego środka, jak i okresów, na które przymus jest stosowany. Np. w Szpitalu Klinicznym im. K. Jonschera w Poznaniu pacjent był unieruchomiony bez przerw przez ponad 2 miesiące (63 dni), a przymus przedłużano aż 235 razy” – zaznaczają.

Raport NIK wskazuje także na braki kadrowe personelu medycznego, a także na przypadki rezygnowania lekarzy z pracy w sytuacji bezradności związanej z przepełnieniem placówek, brakiem ich finansowania i/lub przeciążeniem obowiązkami biurokratycznymi pozostawiającymi niewiele czasu i sił na pracę z młodym pacjentem. Z raportu wynika, że nadal nie został rozwiązany także problem umieszczania nieletnich pacjentów na oddziałach dla dorosłych. Kontrolerzy wymienili w swoim opracowaniu także nieskuteczny i generujący chaos pomysł konsultowania młodych pacjentów w szpitalnych izbach przyjęć, których przeznaczeniem jest zapewnienie opieki pacjentom >

w nagłych przypadkach zagrażających życiu i zdrowiu. Z raportu wynika, iż choć wielu lekarzy pracuje z oddaniem, poświęceniem i chęcią zapewnienia odpowiedniej opieki medycznej pacjentom, polski system opieki zdrowotnej niestety nie umożliwia im wykonywanie ich zadań. Niemożność uzyskania szybkiej i skutecznej pomocy medycznej w oczywisty sposób prowadzi do pogłębiania się wśród pacjentów cierpiących na zaburzenia psychiczne poczucia zagrożenia i bezradności prowadzących do depresji i / lub prób samobójczych.

Samookaleczenia i przemoc w szkołach

Zdaniem pań prowadzących Środowiskowe Centra Zdrowia Psychicznego, stan emocjonalny najmłodszych – już i tak mocno narażonych na skutki stresu, szybszego tempa życia, narastającej presji związanej z chęcią sprostaną nierealnym wymaganiom narzucanym przez wirtualny świat – znacznie pogorszył się w wyniku pandemii. – Izolacja, stałe poczucie zagrożenia, niepewności, radykalna zmiana codziennego trybu funkcjonowania, konieczność znoszenia stresu nie tylko własnego, ale także nieradzących sobie z tą sytuacją rodziców, pozbawienie poczucia przynależności doświadczanego wcześniej w grupie rówieśniczej... To wszystko doprowadziło do tego, że problem, maskowany w czasie pandemii w czterech ścianach, po jej zakończeniu wybuchł ze zwielokrotnioną siłą – wskazują. Jak zaznaczają, dzieci rozmaicie reagują na stres. Niektóre wybierają zachowania autoagresywne, stąd współczesna plaga samookaleczeń wśród młodzieży, inne uciekają się do agresji kierowanej na zewnątrz. Skutkuje to coraz poważniejszym poziomem przemocy w szkołach, a co za tym idzie – coraz częstszymi wnioskami o nauczanie zdalne, co z jednej strony może ochronić dziecko przed przemocą ze strony rówieśników, z drugiej jednak – naraża je na izolację, która z kolei prowadzi do depresji.

– Uważam, że obecny „trend” eksperymentowania z własną tożsamością płciową to efekt poszukiwania uwagi, miłości i akceptacji. Stało się to wręcz „modą”, dzieci nie myślą długofalowo i nie zdają sobie sprawy z nieodwracalności niektórych z podejmowanych kroków. Chcą zaspokoić bieżącą i podstawową potrzebę obdarzenia ich uwagą, a to najłatwiej zrobić właśnie poprzez eksperymenty z dziedzi-

ny LGBTQ. Nie twierdzą, że nie istnieją osoby faktycznie transpłciowe, tak nie jest, jednak skala tego zjawiska jest znikoma. „Moda” na eksperymentowanie ze zmianą płci została sztucznie wykreowana i bazuje ona na ogromnym zagubieniu współczesnej młodzieży, ich głodzie miłości, akceptacji i poczucia bezpieczeństwa – zauważają szefowe Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego.

RAPORT NIK: ŚREDNI CZAS OCZEKIWANIA DLA PRZYPADKÓW STABILNYCH W GRUDNIU W LATACH 2020–2022 I W MARCU 2023 R. WYNIÓSŁ OD 43 DO 56 DNI, A MAKSYMALNY CZAS OCZEKIWANIA OSCYŁOWAŁ MIĘDZY 568 A 731 DNI.

Jak podkreślają, ich praca dawała dotychczas świetne rezultaty, głównie ze względu na zebranie w jednym miejscu zespołu ludzi pracujących z pasją i oddaniem, a także zajmujących się różnymi dziedzinami funkcjonowania dziecka – psychiatrią, neurologią, logopedią etc. – Dzieci bardzo się do nas przywiązały, udało nam się stworzyć więź zaufania, która

sama w sobie stanowi czynnik terapeutyczny. Zapewniają przez nas opieka jest kompleksowa, przez co pozornie droższa, ale dająca znacznie trwalsze efekty. Praca z dziećmi jest o tyle wdzięczna, że dzieci, kiedy tylko znajdą nadzieję i motywację, kiedy zostaną otoczone ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, bardzo szybko się regenerują, odzyskują siły witalne i chęć do życia. Z drugiej strony jednak ryzyko związane z występowaniem zaburzeń psychicznych u najmłodszych jest ogromne, ponieważ dzieci nie myślą perspektywicznie, trudno im wyobrazić sobie, że dana sytuacja przemienie, a ból nie będzie trwał wiecznie. Jeśli stracą nadzieję i nabrają przekonania, że jedyną metodą przerwania cierpienia jest zakończenie życia, sytuacja staje się niezwykle groźna. Niestety, choć na szczęście nie często, dochodzi do zdarzeń drastycznych, jak samobójcza śmierć ośmioletniego chłopczyka, której świadkiem była na dodatek jego sześciolatnia siostra – wskazują moje rozmówczynie.

Autorzy raportu NIK na temat psychiatrii dziecięcej zaapelowali do prezesa Rady Ministrów o zintensyfikowanie działań w celu: „określenia zasad współpracy jednostek opieki zdrowotnej, systemu pomocy społecznej i jednostek systemu oświaty, przy koordynacji opieki nad osobami z zaburzeniami psychicznymi, w szczególności opracowania instytucjonalnych ram i zasad współdziałania jednostek psychiatrycznej opieki zdrowotnej z jednostkami systemu oświaty, pomocy społecznej i sądownictwa, w tym zasad wymiany informacji o pacjencie; wypracowania zasad spraw-

nego ustalania sytuacji prawnej hospitalizowanych dzieci i młodzieży w sposób zapobiegający przedłużaniu ich hospitalizacji ze względów innych niż wskazania medyczne”.

Z raportu wynika bowiem, iż w niektórych placówkach zdrowia psychicznego dochodziło do stanowczo zbyt długiego przetrzymywania w nich młodych pacjentów z uwagi na trudności w kwestii ustalenia ich opiekunów prawnych

STRES SKUTKUJE CORAZ POWAŻNIEJSZYM POZIOMEM PRZEMOCY W SZKOŁACH, A CO ZA TYM IDZIE – CORAZ CZĘSTSZYMI WNIOSKAMI O NAUCZANIE ZDALNE.

bądź odmowy przez rodziców odebrania dziecka po hospitalizacji. – W 97% szpitali z oddziałem psychiatrycznym pobyt dzieci i młodzieży był przedłużany pomimo braku wskazań do dalszej hospitalizacji. Wynikało to na przykład z odmowy odbioru dziecka przez rodzica, oczekiwania na ustalenie opiekunów prawnych, usunięcie z listy wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych czy oczekiwanie na ustalenie terminu przyjęcia w odpowiednim ośrodku, na przykład ośrodka leczenia uzależnień czy odpowiednim domu pomocy społecznej. Dla przykładu w skrajnym przypadku pobyt młodego pacjenta na oddziale psychiatrycznym był o trzy miesiące dłuższy, niż wymagał tego jego stan zdrowia. Jego hospitalizacja trwała bez przerw ponad rok. Taka sytuacja miała negatywny wpływ na stan psychiczny pacjenta. W czasie trwania kontroli w tym samym szpitalu przebywało jednocześnie czterech takich pacjentów – wskazała podczas konferencji prasowej poświęconej raportowi na temat psychiatrii dziecięcej Joanna Piasecka-Girguś, specjalista kontroli państwowej w Delegaturze NIK.

Ściany nie leczą

Szefowe Środowiskowych Centrów Zdrowia

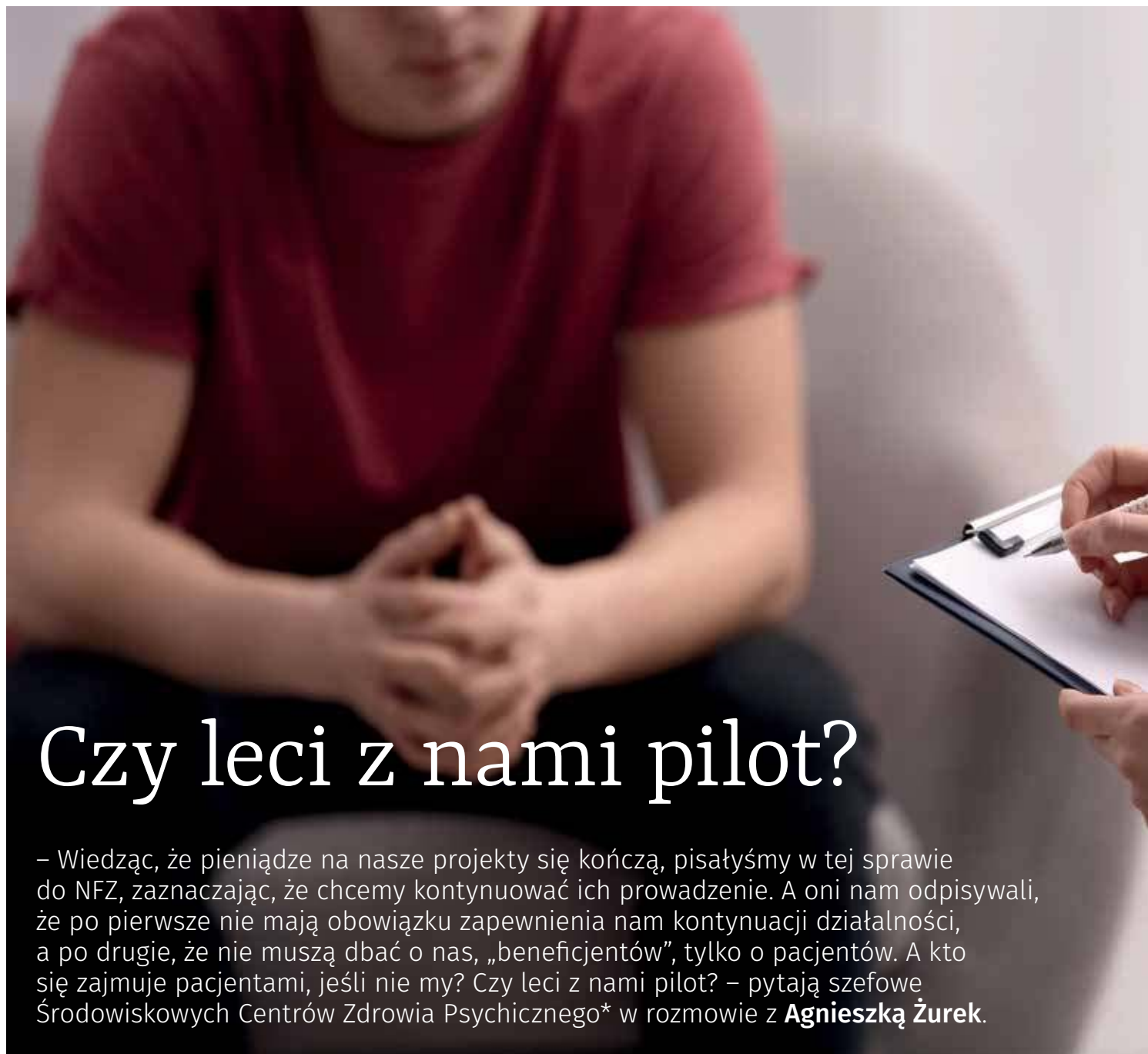
Psychicznego nie kryją w rozmowie ze mną rozczarowania brakiem działań ze strony rządzących w kwestii zaradzenia zapaści w psychiatrii dziecięcej. – To miał być priorytet obecnego rządu, został wymieniony nawet w „stu konkretach na sto dni”. I co? I zostaliśmy bez środków na prowadzenie

naszych ośrodków – relacjonują. Mimo iż są chętne do pracy, posiadają doświadczenie i odpowiedni zespół specjalistów, kobiety nie mogą działać, bo... nie ma na to pieniędzy. Kiedy skończyły się unijne dotacje na Środowiskowe Centra Zdrowia Psychicznego, prowadzące ośrodki rozpoczęły poszukiwania alternatywnych źródeł finansowania swoich placówek. Pisały petycje, wnioski o dofinansowanie do NFZ, wymusiły nawet spotkanie na obecnej minister zdrowia Izabeli Leszczyńskie. Efekt? Żaden. Choć ministerstwo przeznaczyło na dziecięcą psychiatrię ogromne środki finansowe, to przewidziało ich wykorzystanie do budowy bądź modernizacji infrastruktury placówek zdrowia psychicznego, nie zaś do wykorzystywania ich na prowadzenie leczenia i zajęć terapeutycznych. – Ściany nie leczą, nawet jeśli pomalujemy je na najpiękniejsze kolory. To prawda, infrastruktura też jest ważna. Ale nie zastąpi ona przecież odpowiedniej diagnostyki, farmakologii i terapii, która z definicji opiera się na budującej poczucie bezpieczeństwa więzi zaufania pomiędzy terapeutą a dzieckiem – podkreślają moje rozmówczynie. – Nie ukrywamy, że jest to bardzo przykre i demotywujące, kiedy jesteśmy odsyłane od Annasza do Kajfasza, czując

się jak namolni petenci. My się łatwo nie poddamy, ale dziwi nas, że rządzący, którzy przecież mają często własne dzieci i wnuki, są tak krótkowzroczni. Przecież dzieci to nasza przyszłość. Jeśli nie zadamy o ich zdrowie psychiczne na tym etapie, to z czasem będzie tylko gorzej. Za jakiś czas ludzie ci nie tylko nie będą zdolni do normalnego funkcjonowania i podjęcia pracy – a zatem nie będą mogli płacić naszych emerytur – ale ich utrzymanie będzie wymagało od nas stałego nakładu pieniężnego. Mówimy to nie dlatego, że patrzymy na sprawę cynicznie – każdy, kto nas zna, wie, że

NAUKA ONLINE Z JEDNEJ STRONY MOŻE OCHRONIĆ DZIECKO PRZED PRZEMOCĄ RÓWIEŚNIKÓW, Z DRUGIEJ JEDNAK NARAŻA JE NA IZOLACJĘ, KTÓRA Z KOLEI PROWADZI DO DEPRESJI.

wykonujemy swoją pracę nie tylko z pasją, ale przede wszystkim z miłością do dzieciaków. Po ostatnich przejściach mamy jednak wrażenie, że do rządzących nie trafiają już argumenty z dziedziny ludzkiej przyzwoitości i sumienia. Pozostały zatem argumenty pragmatyczne – konkludują. **S**



Czy leci z nami pilot?

– Wiedząc, że pieniądze na nasze projekty się kończą, pisałyśmy w tej sprawie do NFZ, zaznaczając, że chcemy kontynuować ich prowadzenie. A oni nam odpisywali, że po pierwsze nie mają obowiązku zapewnienia nam kontynuacji działalności, a po drugie, że nie muszą dbać o nas, „beneficjentów”, tylko o pacjentów. A kto się zajmuje pacjentami, jeśli nie my? Czy leci z nami pilot? – pytają szefowe Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego* w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Fakt, że stan zdrowia psychicznego, ale i fizycznego Polaków drastycznie pogorszył się po pandemii, jest tajemnicą poliszynela. Jak to wygląda w przypadku najmłodszych pacjentów?

– To jest po prostu zapaść. Myślę, że każdy z nas albo w rodzinie, albo wśród znajomych ma kogoś, kto mierzy się z bardzo poważny-

mi kłopotami z młodzieżą, a nawet z małymi z dziećmi. Jest to spowodowane wieloma czynnikami, począwszy od pandemii, poprzez wojnę na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie, natłok informacji, media społecznościowe, problemy w szkole, przeładowany program... Dzieci wychowane przez rodziców mających dziś 30–40 lat są często słabsze psychicz-

nie, stanowią tzw. pokolenie płatków śniegu, którym rodzice chcieli dać „gwiazdkę z nieba” i rozwiązać ich wszystkie problemy. W efekcie z tych dobrych pragnień narodziło się pokolenie dzieci nieradzących sobie z wyzwaniami i trudnościami niesionymi przez życie. Tych z kolei nie brakuje, ponieważ o ile jeszcze w czasach młodości współczesnych



Fot. Adobe Stock

30- i 40-latków istniał autorytet nauczycielski i łatwiej było reagować na niewłaściwe zachowania w szkole, obecnie jest to znacznie utrudnione, a „hejt” i prześladowanie słabszych uczniów stały się niestety powszechne, a nawet modne.

– A nauczyciel nie ma jak na to reagować?

– Bywa różnie, ale często jako dorośli jesteśmy w różnych sytuacjach bezradni. Młodzi ludzie są ogromnie podatni na ocenę, dziś każdy z nich dysponuje potężną „bronią”, jaką stanowi telefon komórkowy z aparatem fotograficznym. To właśnie utrwalone na nim treści stanowią częsty przyczynek do samookaleczeń czy nawet prób samobójczych. Dzieci utrwalały telefonami wstydlive czy żenujące sytuacje, u naszych pacjentów ten motyw pojawia się notorycznie. Bardzo często dzieci mówią mi: „Proszę pani, koledzy zrobili mi zdjęcie czy nakręcili filmik, kiedy byłem w krępującej sytuacji, kiedy wystawała mi jakaś część ubrania lub kiedy się czymś pobrudziłem i tego nie zauważyłem...”. Zdarzają się także – i to niestety nierzadko – sytuacje zmuszające dzieci przez inne dzieci do znalezienia się w krępującej

sytuacji i nagrywania tego telefonami. Kiedyś, jeśli nawet dochodziło do jakichś niezręczności, co się przecież zdarza u dzieci i jest normalne, świadkiem wydarzenia była jedna, najwyżej kilka osób. Dziś o dowolnej „awarii” wie momentalnie cały internet. To właśnie z powodu nagonki, wyśmiewania i zbiorowego hejtu dzieci najczęściej podejmują próby samobójcze.

– Od kogoś się tego uczą. Powinniśmy się nad sobą zastanowić jako dorośli?

– Oczywiście. Dzieci często odreagowują na słabszych stres, którego do-

świadczają w domu. Niektóre wyżyją się na innych dzieciach, inne na sobie samych – stąd plaga samookaleczeń, zaburzeń odżywiania i innych zachowań autodestrukcyjnych. Dorośli nie radzą sobie sami ze sobą, także dzieci muszą radzić sobie nie tylko z własnym stresem, ale i z bezradnością swoich opiekunów. Wyraźnie widać to było w czasie pandemii, kiedy rodziny zostały zamknięte w czterech ścianach i zmuszone do przebywania ze sobą 24 godzin na dobę. Pandemia i lockdowny uruchomiły plagę rozwodów, uzależnień i zaburzeń psychicznych.

Po pandemii zaczęła się wojna na Ukrainie, a od własnych dzieci mogłyśmy usłyszeć wówczas: „Mamo, cały czas liczymy zmarłych, wtedy na covid, a teraz tych, którzy zginęli na wojnie”. Nasi mali pacjenci bardzo przeżywają także

TO WŁAŚNIE Z POWODU NAGONKI, WYŚMIEWANIA I ZBIOROWEGO HEJTU DZIECI NAJCZĘŚCIEJ PODEJMUJĄ PRÓBY SAMOBÓJCZE.

konflikt w Palestynie i straszenie nas kolejnymi pandemiemi, ostatnio bardzo bali się małpiej ospy. Widać zatem wyraźnie, jak działają na nas media i media społecznościowe. Szczególnie destrukcyjny jest serwis TikTok, platforma, która została zakazana już w kilku stanach USA. Obserwujemy to jako specjalistki i widzimy, jak ogromnie niebezpieczne jest to narzędzie i pojawiające się tam fake newsy czy „wyzwania” nawołujące do samookaleczeń czy prób samobójczych. Widzimy – nawet na własnym przykładzie, jak bardzo ta platforma jest także uzależniająca.



– Dzieci, młodzież, ale i dorośli potrzebują zatem „odwyku cyfrowego” i często pomocy psychologicznej na cito.

– Tak i jest nam to naprawdę przykro mówić, ale będzie coraz gorzej, a nie coraz lepiej. Staramy się robić, co możemy, i niepojęta jest dla nas

sytuacja, w której się znaleźliśmy. Prowadzimy Środowiskowe Centra Pomocy Psychologicznej wzorowane na zachodnich standardach, których zadaniem jest reagowanie na zaburzenia psychiczne u młodzieży na jak najwcześniejszym etapie – tak aby w mia-

rę możliwości zapobiec stresującej i kosztownej hospitalizacji pacjentów. Do hospitalizacji dochodzi zawsze wtedy, kiedy dziecko podejmuje próbę samobójczą. Procedury nakazują wówczas hospitalizację, farmakologię, czasem przypięcie pasami, aby nie dopuścić do następnej próby ode-

brania sobie życia. To kolejne traumy dla dzieci. My staramy się im zapobiegać, a skuteczność naszych centrów potwierdzają zarówno rodzice, jak i sami pacjenci, którzy lubią do nas przychodzić, którzy często sami proszą rodziców o za-

branie ich do psychologa. Cieszą się, że mogą z nami porozmawiać, że mamy dla nich czas. Mamy piękne lokale i świetne zespoły wykwa-

lifikowanych ludzi – nie tylko psychiatrów i psychologów, ale także np. neurologa, fizjoterapeutę, logopedę, pedagoga czy prawnika. W ofercie Narodowego Funduszu Zdrowia jest jedynie psychiatra i psycholog, a my nadal nie możemy „wejść” do tego systemu po tym,

tów przyznawanych za wcześniejsze bycie w „systemie”. Jesteśmy osobami wykształconymi, pracowitymi, przedsiębiorcami, kobietami z pasją, takimi, którym się chciało. I nadal nam się chce, choć rzuca nam się kłody pod nogi. Nie jesteśmy jedyne, nawet niedawny raport Najwyższej

MAMY DO CZYNNIENIA Z SYTUACJĄ RODEM Z „PARAGRAFU 22”, PONIEWAŻ NIE MOŻEMY SIĘ DOSTAĆ DO „SYSTEMU”, DLATEGO ŻE NIE OTRZYMUJEMY PUNKTÓW PRYZNAWANYCH ZA WCZEŚNIEJSZE BYCIE W „SYSTEMIE”.

kiedy skończyły się nam unijne pieniądze.

– Jakich argumentów używa NFZ?

– Wiedząc, że pieniądze na nasze projekty się kończą, pisałyśmy w tej sprawie do NFZ, zaznaczając, że chcemy kontynuować ich prowadze-

nie. A oni nam odpisywali po pierwsze, że nie mają obowiązku zapewnienia nam kontynuacji działalności, a po drugie, że nie muszą dbać o nas, „beneficjentów”, tylko o pacjentów. A kto się zajmuje pacjentami, jeśli nie my?

Czy leci z nami

pilot? Mamy do czynienia z sytuacją rodem z „Paragrafu 22”, ponieważ nie możemy się dostać do „systemu”, dlatego że nie otrzymujemy punk-

Izby Kontroli pokazał, jak dramatyczna jest sytuacja dziecięcej psychiatrii. Nie wchodzimy tu w żadne sympatie ani antypatie polityczne. Ten raport oceniamy po prostu jako rzetelny. A jest on wstrząsający. Nie dość, że kondycja psychiczna dzieci i młodzieży stale się pogarsza, to jeszcze mamy do czynienia z chaosem i brakiem komunikacji pomiędzy poszczególnymi instytucjami. Można odnieść wrażenie, że niektórzy szefowie instytucji mają z nimi do czynienia jedynie wtedy, kiedy pojawiają się na jakimś uroczystym przecinaniu wstęgi czy innym celebrowaniu – głównie medialnego – sukcesu. Na co dzień zdają się często nie wiedzieć, co właściwie dzieje się w placówkach, którymi zarządzają. To smutne, bo jest to w efekcie piłowanie gałęzi, na której siedzimy wszyscy, także decydenci. Jeśli nie zadbamy zawczasu o kondycję psychiczną naszej młodzieży, zgotujemy sobie naprawdę niewesołą pod każdym względem przyszłość.

* Szefowe Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego pragną dla dobra swoich placówek zachować anonimowość. Ich imiona i nazwiska są znane redakcji. **S**

**SZCZEGÓLNIE
DESTRUKCYJNY JEST
SERWIS TIKTOK
I POJAWIAJĄCE SIĘ
W NIM FAKE NEWSY
CZY „WYZWANIA”
NAWOŁUJĄCE
DO SAMOOKALECZEŃ
CZY PRÓB
SAMOBÓJCZYCH.**



Magdalena Okraska

Zamordowana, aby czynsze mogły rosnać

28 października tego roku Prokuratura Regionalna w Gdańsku umorzyła trwające od 2011 roku śledztwo w sprawie podejrzanej śmierci Jolanty Brzeskiej, warszawskiej działaczki lokatorskiej. Powodem jest „brak danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu zabronionego”.

Każdy, kto choć trochę śledził tę sprawę, wie, że Brzeska musiała zostać zwabiona do lasu podstępem i zamordowana – nie ma możliwości, by ktoś wybrał tak niedorzeczny i bolesny sposób samobójstwa, jak samospalenie, zwłaszcza że nie istniały ku takiemu krokowi przesłanki. Brzeską zamordowała mafia deweloperska Warszawy – aby czynsze reprivatyzowanych mieszkań mogły rosnać.

Taka decyzja prokuratury pokazuje, kto rok temu wrócił w Polsce do władzy. Ponownie rządzą nami ludzie, których podstawowym kierunkiem orientacji jest zysk, ludzie, którzy z zimną krwią usuwają swoich przeciwników politycznych. Śmierć Jolanty Brzeskiej jest rozdzierająco smutna i niesprawiedliwa, jest też znamieną dla czasów, w których nastąpiła. Ale interesujące jest także, co się dalej z przesłaniem, które niesie ta śmierć, dzieje, i jak – oraz kiedy – reaguje na nią społeczeństwo.

Właściwie nigdy nie miałam złudzeń, że deklarujący „poglądy prosocjalne” i „myślenie społeczne” ludzie z zamożnych środowisk interesują się tak naprawdę losem ubogich matek wielodzietnych czy choćby ludzi wyrzuconych z przedwojennych kamienic, choć, gdy było to modne, gardłowali za ich prawami. Deklaratywna prospołeczność zaczęła się na dwa, trzy lata przed pierwszym

rządem PiS-u, chociaż jej wyznawcy w głębi duszy nadal uważali, że robole śmierzdzą. Wybory z 2015 roku przyniosły rozkwit udawanych postaw socjalnych – młodzi lewicowcy z dużych miast i dojrzały publicyści nagle zaczęli być świętsi od papieża i bardziej społecznie nastawieni, oczywiście w deklaracjach i publikacjach, od tych, którzy rządzą, i tych, którzy od kilku dekad działali w organizacjach lokatorskich czy pracowniczych. Nic z tego jednak nie wynikało, oprócz gigabajtów bicia piany. Jolanta Brzeska, jako jedna z postaci emblematycznych dla ruchu lokatorskiego, była wtedy chwilowo na ustach wszystkich – co nie przeszkadzało tym samym ludziom wyśmiewać filmu „Lokatorka”, jako „zbyt mało artystycznego”.

Co znamienne, sytuacja zmieniła się natychmiast po zmianie władzy, choć i wcześniej widoczne były objawy znudzenia tematyką socjalną. Teraz jednak, gdy nie trzeba już walczyć z krwiożerczym PiS-em, nie walczy się także z przyjaciółmi nowej władzy: deweloperami, flipperami, bogaczami, przekręciarzami. Mało słysząc głosów, które oburzałyby się na wyrok prokuratury. Ewentualny gniew jest bledy i wyrażony półgębkiem, bo ile kosztuje napisanie tweeta? Jolanta Brzeska, jak i cała walka o prawa lokatorów, ponownie interesuje tylko tych, którzy boją się pogorszenia dynamiki relacji pomiędzy bogatymi a ubogimi. Wspomnienie blondynki w średnim wieku dzielą ci, spośród których pochodzi. Reszta respektuje decyzję prokuratury – także ostatni sprawiedliwi i wielcy działacze.

Podpalono kobietę, żeby klika mogła wzbogacać się na mieszkaniach. **S**



„Skok na kasę”

Kontrowersje wokół projektu ustawy o reformie szpitali

Fot. Adobe Stock

Projekt ustawy o reformie szpitali, choć nie zajęła się nim jeszcze Rada Ministrów, **już budzi poważne kontrowersje**. Chodzi o zmiany, zdaniem przedstawicieli NSZZ „Solidarność” poważne zmiany, które wprowadzono do projektu już po przeprowadzeniu konsultacji społecznych.

Barbara Michałowska, Agnieszka Żurek

Maria Ochman, przewodnicząca Rady Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ

„Solidarność”, przypomniała w rozmowie z nami, że projekt przechodził proces konsultacji

społecznych, jednak ani NSZZ „Solidarność”, ani OPZZ oficjalnie nie otrzymały tego dokumentu do zapiniowania.

„Okazało się, że na ostatniej prostej Ministerstwo Zdrowia dodało szereg zapisów wcześniej nie konsultowanych, a wśród nich ten umożliwiający prywatyzację czy wręcz sprzedaż szpitali!” – piszą przedstawiciele NSZZ „Solidarność” w komunikacie opublikowanym na stronie internetowej Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „S”.

Kontrowersje wzbudził szczególnie art. 82a nowej wersji projektu, który brzmi: „Właściwy organ podmiotu tworzącego może połączyć, na podstawie rozporządzenia, zarządzenia albo uchwały, samodzielny publiczny zakład opieki zdrowotnej ze spółką kapitałową wykonującą działalność leczniczą, w której wartość nominalna udziałów albo akcji należących do Skarbu Państwa lub jednostki samorządu terytorialnego, lub uczelni medycznej stanowi co najmniej 51 proc. kapitału zakładowego



To po prostu zakamuflowana prywatyzacja szpitali i kolejny „skok na kasę”.

MARIA OCHMAN

spółki, a w przypadku prostej spółki akcyjnej liczba akcji należących do Skarbu Państwa lub jednostki samorządu terytorialnego, lub uczelni medycznej stanowi co najmniej 51 proc. ogólnej liczby akcji tej spółki, oraz gdy Skarb Państwa lub jednostka samorządu terytorialnego, lub uczelnia medyczna dysponuje bezpośrednio większością głosów na zgromadzeniu wspólników albo walnym zgromadzeniu, w tym również ze spółką kapitałową, w której ten podmiot tworzący wykonuje prawa z udziałów lub akcji, zwaną dalej «spółką przejmującą». W przypadku, gdy podmiotem tworzącym jest jednostka samorządu terytorialnego lub związek jednostek samorządu terytorialnego właściwym organem jest organ stanowiący tej jednostki lub tego związku”.

Maria Ochman w rozmowie z nami mówi wprost: – To po prostu zakamuflowana prywatyzacja szpitali i kolejny „skok na kasę”.

Innego zdania jest najwidoczniej premier Donald Tusk, który mówił w ubiegłym tygodniu: – Wezmę

na siebie polityczną odpowiedzialność za poważne i trudne rozmowy, które muszą doprowadzić do tego, żeby system w Polsce był bardziej zrównoważony. Moją troską będzie to, by nigdzie ludzie nie mieli poczucia, że czegoś im zabraknie.

Na budzące kontrowersje fragmenty zwrócili jednak uwagę również pracownicy Rządowego Centrum Legislacji. Ich niepokój wzbudziły dodane na ostatniej prostej prac zapisy dotyczące możliwości przyłączenia Samodzielnych Publicz-

nych Zakładów Opieki Zdrowotnej do spółki kapitałowej, które – w ich opinii – mogą skutkować pogorszeniem ochrony prawnej wierzycieli.

„Tak szerokie uzupełnienie projektu (z około 18 str. do 29 str. samej części normatywnej), zwłaszcza w istotnym merytorycznie zakresie, wymaga potwierdzenia przez wnioskodawcę [Ministerstwo Zdrowia – przyp. red.] faktu uzgodnienia proponowanych w tym zakresie rozwiązań, w szczególności z Prezesem Prokuraturii Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej, oraz zaopiniowania w tym zakresie przez Komisję Wspólną Rządu i Samorządu Terytorialnego” – wskazała w piśmie do sekretarza Stałego Komitetu Rady Ministrów wiceprezes RCL Monika Salamonić. „W ocenie RCL przyłączenie SPZOZ

do spółki kapitałowej, w formule zaproponowanej przez MZ, może skutkować pogorszeniem ochrony prawnej wierzycieli” – podało RCL.

5 listopada projektem miała się zająć Rada Ministrów, ale punkt spadł z harmonogramu obrad. „Podczas Rady Ministrów odbyły się dyskusje nad wieloma bardzo ważnymi punktami (w tym m.in. KPO i specustawą powodziową), którym poświęcono dużo czasu. Z uwagi na fakt, że temat organizacji lecznictwa szpitalnego wymaga właściwej przestrzeni do dyskusji, punkt o ustawie dotyczącej reformy szpitalnictwa został przeniesiony na przyszły tydzień” – wyjaśnił portalowi Rynek Zdrowia Ministerstwo Zdrowia.

Problem jednak nie zniknął, a związkowcy obawiają się, że powtórzy się sytuacja z czasów poprzednich rządów Donalda Tuska i ówczesnych procesów prywatyzacji szpitali. – To skandal, że te zmiany zostały wprowadzone już po konsultacjach społecznych. Pokazuje to, że owe „konsultacje” w rzeczywistości okazały się fikcją – skomentowała na łamach Tysol.pl Maria Ochman. **S**

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ

WASIUKIEWICZ



Pod pozorem luksusu

Są różne sposoby uzależniania oraz rozmaite formy ograniczania swobody wyboru jednostkom z pozoru wolnym. Ale trzeba być mistrzem, żeby zniewalać na masową skalę, i to bynajmniej nie polityką. Tymczasem w ciągu kilkunastu ostatnich lat około trzech milionów Polaków **zostało usidlonych** przez firmę świadczącą wysokopłatne usługi medyczne.

Monika Małkowska



Nie wierzycie? Ja też długo nie zdawałam sobie sprawy z procesu, który zachodził w naszej przytomności, krok po kroku, by ostatecznie wyprowadzić nas na manowce czegoś. Nas, czyli ludzi potrzebujących opieki medycznej. Czyli absolutną większość obywateli RP. Bo współczesny „dobrobyt” jakoś dziwnie nie przekłada się na poprawę naszego stanu zdrowia.

Podprogowy komunikat w nazwie

Jakiś geniusz PR-u wymyślił tę nazwę: LUX MED.

Łatwo rozczytać zakamufłowane znaczenie skrótu – wykwent i fachowość w jednym. Luksusowa medycyna. Dla zasobnego, postępowego społeczeństwa, jakim mieliśmy stać się w efekcie transformacji. LUX MED, czyli przeciwieństwo brudnej i zacofanej służby zdrowia rodem z PRL. Z niej niech korzysta społeczny margines, który wyobraźnią i kasą tkwi w przeszłości.

Trochę trwało, zanim kapitalistyczny system zdewastował polskie leczenie. Ale już na początku lat dwutysięcznych było wiadomo: dawna „służba” się nie sprawdza; jest niewydolna. Cezurą stała się nasza przynależność do UE – młodzi lekarze emigrowali tam, gdzie lepiej płacono. W publicznych medycznych placówkach pozostali nieliczni, wierni przysiędze Hipokratesa lub nieudacznicy bez znajomości języków obcych, przekonani, że w ojczyźnie też do czegoś dojdą.

Aż tu okazało się, że przed tymi, którzy zostali w kraju, też otwierają się złote wrota. Usługi zdrowotne podporządkowano korporegulom.

W 2007 roku uformowała się Grupa LUX MED, świadcząca prywatne usługi medyczne, będąca częścią międzynarodowej (o brytyjskim rodowodzie) grupy Bupa, aktywnej na całym świecie. Ten

Fot. Adobe Stock

medyczny McDonald nie od razu serwował lekarską hucpę. Żeby pozyskać indywidualnych klientów, firma najpierw weszła w układy z instytucjami.

istotne: zdrowie. Pacjenci przyzwyczajali się więc do „swoich” lekarzy specjalistów, których traktowali jak niegdyś lekarzy rodzinnych. W ten sposób, podstępnie, Grupa

POD TELEFONICZNE PORADNICTWO PODCIĄGNIĘTO WSZYSTKICH SPECJALISTÓW: OKULISTĘ, ORTOPEDĘ, GASTROLOGA... **NAJLEPIEJ, ŻEBY PACJENT SAM SIĘ ZDIAGNOZOWAŁ, A LUX MED POBRAŁ ZA TO KASĘ.**

Krew na koszt firmy

LUX MED oferował tanie badania i poradnictwo medyczne, o ile płacono za nie hurtowo. Medycyna pracy wymagała systematycznych konsultacji; firmy ustalały z LUX MED-em dni i godziny, w czasie których pracownicy mieli stawić się na zdrowotny egzamin. W tym samym miejscu, w razie choroby, mogli skorzystać z lekarskich porad – wciąż na koszt pracodawcy. Kto by nie chciał? Darmowe usługi, recepty, w razie czego zwolnienia. Dawna służba zdrowia rzeziła z niedofinansowania, ludzie chorowali jak zwykle. Kogo nie było stać na indywidualne konsultacje, ustawiał się w kolejce do NFZ. Tymczasem korpulud miał lepiej: koszty leczenia ponosiły zatrudniające ich przedsiębiorstwa. Punkty lecznicze usytuowane były w dogodnych, łatwo dostępnych komunikacyjnie lokalizacjach, kolejek nie było, a w dodatku medyczny kombinat zatrudniał naprawdę dobrych specjalistów. O elegancji wewnątrz jeszcze nikt nie dywagował, ważniejsze było to, co

LUX MED przejęła prowadzenie na polskiej niwie leczniczej.

Z czasem firmy przestawały troszczyć się o cielesny dobrostan zatrudnionych. Wycofywały się ze zbiorowych umów, przerzucając zdrowotne zmartwienia na prywatne barki pracowników. Powszechną praktyką stały się, w miejsce etatów, śmieciówki, czyli niczego niegwa-

Za zasłoną portalu

Nie tak szybko skumaliśmy, że zastawiono na nas sidła. Coroczny abonament stał się osobistym zmartwieniem obywateli. LUX MED podwyższał rokrocznie kwotę, niejako wyprzedzając inflację. Przecież wszystko drożeje, to i zdrowie musi więcej kosztować. W dodatku objęty pakietem zakres usług kurczył się; coraz więcej badań i konsultacji u specjalistów wymagało dodatkowej opłaty. Ale specjaliści, do których pacjenci przyzwyczajeni, wciąż byli dostępni. Terminy umawiali recepcjoniści, pacjenci nie musieli niczego kombinować. W miarę wzrostu popularności medycznego kombinatu czas oczekiwania na wizytę mocno się wydłużył, jednak jeszcze wciąż można było umówić się z ulubioną panią/panem doktorem, który znał historię dolegliwości i wiedział, co zaordynować.

Komplikacje pojawiły się wraz z „usiecznieniem” usług. Rzecz o dla wygody pacjentów powstał Portal Pacjenta, wymagający obycia w posługiwaniu się myszą i ekranem. Starsi odpadali. Covidowy lockdown przypieczętował sprawę.

Wtedy też zainicjowano teleporady – pozornie dla obopólnego

MOŻNA WYSZUKAĆ TERMIN WIZYTY PRZEZ INTERNET. **ŁATWIEJ? SKĄDŻE! DO NAJBARDZIEJ POTRZEBNYCH SPECJALISTÓW ZERO DOSTĘPNYCH DAT.**

rantujące umowy okresowe. Ochrona zdrowia tak zatrudnianych? A sam sobie je chroń, człowieku. I ciesz się, że masz za co.

bezpieczeństwa. Zaraza minęła wraz z wybuchem wojny na Ukrainie, a ta pseudousługa trwa, ku finansowej chwale „luksusowej” firmy. >

Lekarze odrabiają przydziałowe wizyty zdalnie, jednak w rozliczeniu mają je odpajkowane. Pacjenci mają na wypunktowanie bóleczek maksimum kwadrans. Pomijając nieumiejętność większości chorych do opisanego dolegliwości – jaki lekarz jest w stanie wydać zaocznie wyrok? W dodatku pod telefoniczne poradnictwo podciągnięto wszystkie dziedziny: okuliście, ortopedę, gastrologa... Najlepiej, żeby pacjent sam się zdiagnozował, a LUX MED pobrał za to kasę.

To oszustwo, szarlataneria, której daleko do prawdziwej medycyny. Trudno się dziwić, że większość pacjentów opłacających abonament usiłuje jednak spotkać się z doktorem face to face. Można wyszukiwać termin wizyty przez internet. Łatwiej? Skądże! Do najbar-

uporczywą czkawkę. Jednak kiedy jego samego dopadnie zdrowotny niefart, biegnie do prawdziwego specja. I to nie są „tanie rzeczy”. Chcesz, człowieku, pomocy tu i teraz? Można nawet załatwić to z marszu, ale za stosowną cenę.

Najgorsze, że nie ma alternatywy. Publiczna służba zdrowia rypnęła się już dawno, a masowa emigracja z Ukrainy, której usłużna Polska zaoferowała – wśród innych prezentów – gratisową pomoc medyczną, mocno pogorszyła i tak fatalny stan rzeczy.

Kto na tym korzysta?

Tak, zgadli Państwo – LUX MED i podobne medbiznesy. Według opisu firma „zapewnia pełną opiekę: ambulatoryjną, diagnostyczną, rehabilitacyjną, szpitalną i długoterminową dla ponad 2 500 000 pacjentów. Do ich dyspozycji jest 290 ogólnodo-

korzystniej; dla cierpiących – kolejne utrudnienie.

Za siódmą górą, za siódmą rzeką...

Niedawno przedsięwzięłam wyprawę po szczepionkę przeciwko grypie, którą – słusznie czy nie – co roku sobie aplikuję. Stosowny abonament uprawnia mnie do korzystania z tej usługi bez dodatkowych opłat. Luksus! Tylko jeszcze trzeba było znaleźć placówkę, gdzie owa usługa jest dostępna. Udało się za pośrednictwem Portalu Pacjenta i Google Maps.

Tak oto wyrzuciło mnie na zadupie Mordoru. Okolica okazała się zupełnie nieadekwatna do reklamowanego luksusu firmy: gdzieś pod wiaduktem, w pobliżu dworca PKP Służewiec, za zajezdnią tramwajową, obok rozpadających się baraków do rozbiórki. Piekło dla pieszych, koszmar dla zmotoryzowanych. Trzeba mieć zdrowie, żeby dotrzeć.

Gdy już udało się namierzyć przeszkłony monolit z pretensjami do nowoczesności, czekało mnie kolejne wyzwanie: odnalezienie właściwego gabinetu w labiryncie korytarzy. Potem już tylko doczekanie swojej kolejki i na koniec przyjęcie do organizmu preparatu z wirusami.

W nagrodę, po zastrzyku, mogłam rozprzeć się w wygodnych fotelach korytarzowej „poczekalni” i kontemplować estetyczny wystrój pomieszczeń.

I chyba tylko ta strona wizualna stanowi zauważalną różnicę między placówkami omawianej organizacji a przychodnią rejonową czy SOR-em. Tyle że za tę urodę płać klienci.

Cóż, nie chcę straszyć: będzie dalej i drożej. Kopromedycyna nie ma konkurencji. Dlatego udało jej się ubezpieśnić dużą część narodu. Nawet jeśli ktoś zaczyna kumać, jak działa ten leczniczy kombinat, jeśli jest już w tym systemie – nie wymknie się. Aż do zejścia. 

CORAZ TRUDNIEJ DOTRZEĆ DO PLACÓWEK LUX MED-u. WIĘKSZOŚĆ ROZRZUCONO PO PERYFERIACH MIAST – BO TAM MOŻNA NAJTANIEJ WYNAJAĆ LOKALE.

dziej potrzebnych specjalistów zero dostępnych dat. Prosimy próbować do skutku, najlepiej w nocy z niedziele na poniedziałek.

Nawet ci, którym sieć nie jest obca, wymiękają po wielu próbach dogadania się z algorytmem i udają się do placówki ubezpieczyciela, by analogowo wynegocjować wizytę, z pomocą żywego recepcjonisty.

Maszynka do zarabiania

Podobno najwięcej jest na świecie lekarzy – taką diagnozę postawił Molière. Każdy wie, co drugiemu doradzić na za rzadki stolec, bóle w krzyżach,

stępnym i przyzakładowych centrów medycznych, w tym placówki ambulatoryjne, diagnostyczne i szpitale, a także ośrodek opiekuńczo-rehabilitacyjny oraz ponad 3000 poradni partnerskich”.

We wspomnianych przybytkach jest czysto, jasno, kolorowo. Oczy cieszy pastelowa gama barwna umeblowania, ucho pieści cicha muzyka sącząca się z niewidocznych głośników.

Jest jednak poważny mankament: coraz trudniej dotrzeć do placówek LUX MED-u. Większość rozrzucono po peryferiach miast – bo tam można najtaniej wynająć lokale. Dla firmy



Karol Gac

Powrót do Białego Domu

Donald Trump zostanie 47. prezydentem Stanów Zjednoczonych, który – wbrew wszystkim i wszystkiemu – wygrał wybory i powróci do Białego Domu. I choć pytania się mnożą, to niewątpliwie czeka nas dynamiczny czas zmian.

Obserwując powyborcze reakcje polityków i mediów, można by dojść do wniosku, że w nocy z 5 na 6 listopada rozstrzygało się, kto zostanie nowym prezydentem Polski. Tymczasem to nie my, a Amerykanie decydowali, kto będzie zasiadał w Białym Domu przez kolejne lata. Tylko tyle i aż tyle.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wybory w Stanach Zjednoczonych miały ogromne znaczenie i to na każdym poziomie. Od sytuacji wewnętrznej w USA, przez relacje z Europą, po sytuację na świecie. Miały także swoje znaczenie w kontekście polskiej sceny politycznej, w tym przede wszystkim jej prawej części. Niezależnie od tego, trzeba mieć jednak w pamięci, że mowa jest o prezydencie Stanów Zjednoczonych, który na pierwszym miejscu, co oczywiste, będzie stawiał interes własnego państwa.

W momencie, w którym piszę ten felieton, praktycznie wszystko jest jasne. Donald Trump zdobył już wymaganą liczbę głosów elektorskich oraz prawdopodobnie wygrał także w głosowaniu powszechnym. Co więcej, Republikanie będą mieli także większość w Senacie i Izbie Reprezentantów. Najlepszym dowodem na skalę sukcesu jest zachowanie Kamali Harris, która zrezygnowała z przemówienia do swoich zwolenników. Zwycięstwo

Trumpa i jego drużyny jest więc pełne i niepodważalne, a gratulacje płyną już z całego świata.

Bezsprzecznie największym przegranym tych wyborów są sondażownie, które konsekwentnie kreowały nieistniejący obraz. Amerykanom, a w ślad za nimi światu, wmawiano, że walka jest wyrównana, a szala przechyla się na rzecz kandydatki Demokratów. Tymczasem Trump wygrał w większości (może wszystkich?) wahających się stanach, i to ze sporą przewagą. Jeśli uznana sondażownia myli się o więcej niż 15 punktów procentowych, to wnioski proszę wyciągnąć sobie samemu.

O błędach i problemach Demokratów można byłoby pisać długo. Tyle tylko, że prawdziwym zwycięzcą wyborów jest Donald Trump. Udało mu się wrócić w wielkim stylu. Obrzucano go najgorszym błotem, stawiano niezliczone zarzuty, robiono pokazowe procesy, a to i tak na nic. Wreszcie, doszło do dwóch zamachów na jego życie. A Trump szedł konsekwentnie swoją drogą. I wygrał.

Nie podejmuję się prognozy tego, co nas czeka. Na pewno Donald Trump jest bogatszy o doświadczenia pierwszej kadencji i nie popełni tych samych błędów. Zapewne będziemy też świadkami w Stanach Zjednoczonych tego, co w Polsce nastąpiło po stronie liberalno-lewicowej podczas rządów PiS. Zmierzy się z histerią, obstrukcją i protestami. Trump ma jednak solidne poparcie. Czy uda mu się wbrew przeciwnościom uczynić Amerykę znów wielką? Oby. **S**

Kraj

STOP

libkizacji PiS-u!

Krzysztof Karnkowski

Kadencja 2001–2005 wydaje się dziś odległa bardziej, niż wynikałoby to z upływu czasu. Początkowo wręcz miazdząca, a potem sypiąca się z miesiąca na miesiąc dominacja układu wywodzącego się z dawnej PRL, narastające konflikty między PSL a SLD, a później również w łonie samego SLD. „Zimna przyjaźń” między Leszkiem Millerem i Aleksandrem Kwaśniewskim. Pierwsze wielkie afery i komisje śledcze, a wraz z nimi – zdawałoby się nieuchronny – marsz nowych partii prawicowych po wspólną władzę. Stało się jednak inaczej, w 2015 roku realna walka toczyła się już między PiS a PO. Wtedy też pojawiły się przeciwstawione sobie hasła „Polski liberalnej” i „Polski solidarnej”. Podział ten trafił do przekonania wielu Polakom, czasem jednak zapominają o nim sami politycy.

Gdy po raz pierwszy w historii III RP środowiska postkomunistyczne praktycznie przestały się liczyć w politycznej grze, w sposób zaskakujący dla przeciętnego obserwatora dwie współpracujące dotąd ze sobą siły wyrosłe w tradycji postsolidarnościowej (tak, trudno w to uwierzyć, ale tak w sferze deklaracji pozycjonowała się przecież i Platforma) rozpoczęły walkę. Początkowo

zdawało się zresztą, że służyć ona będzie wyłącznie rozstrzygnięciu, która z nich będzie głównym rozgrywającym w przyszłym rządzie. Ten tworzyć mieli przecież razem, jak w mijającej kadencji tworzyli blok w Senacie czy liczne koalicje samorządowe. Nie chcę wchodzić tu w głębokie analizy podskórnych różnic czy uwikłań, które przecież objawiły się i wcześniej, choćby w nocy 4 czerwca 1993 roku.

Solidarna przeciw liberalnej

Po doświadczeniu kolejnych kadencji rządów postkomunistów wielu uwierzyło, że Platforma odrobiła tamtą lekcję. Zwłaszcza że posługiwała się przecież mocno prawicową retoryką, przyznając się przy tym do mocnego oparcia na chrześcijaństwie i konserwatyzmie („Będziemy bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa” – zobowiązywali się na przykład politycy PO w tzw. deklaracji krakowskiej z 2003 roku). Podobnie, jak przełomowy 2015, rok 2005 był momentem zbiegnięcia się czasie wyborów parlamentarnych i prezydenckich. W grze o Sejm postkomuniści przestali się liczyć wskutek afer i podziałów, z bitwy o Belweder



Fot. Adam Chelstowski / Forum

Zyta Gilowska była ministrem finansów
w rządzie PiS w latach 2006–2007



Włodzimierza Cimoszewicza wykluczył skandal, który po latach okazał się rozgrywką służb. Po SLD zostały dwie grupy elektoratu: osoby niezadowolone z transformacji ustrojowej, które przejęło PiS i, do pewnego stopnia, Samoobrona oraz ci, którzy jako ludzie dawnej bezpieki pozycję stracili głównie formalnie, całkiem nieźle się w nowej rzeczywistości odnajdując. Ci w naturalny sposób postawili na Platformę i być może właśnie to przesądziło, że tzw. PO-PiS stracił szansę na zaistnienie i zmianę Polski. Formalnie jednak PO nie mogła się do tego przyznać, na to czas przyszedł dopiero kilkanaście lat później. Tymczasem kampania zogniskowała się wokół przywołanego już i kluczowego dla tego tekstu podziału na „Polskę solidarną” i „Polskę liberalną”. Warto przypomnieć, że to właśnie ta narracja przyniosła PiS nie tylko wygraną w wyborach parlamentarnych, lecz również, dla wielu jeszcze mniej spodziewanie, prezydenckich. Lech Kaczyński przed drugą turą uzyskał poparcie ze strony samoobrony, lecz również, o czym mało kto pamięta, PSL.

Połączyć ogień z wodą

Pewnym zaskoczeniem w tej sytuacji mógł być fakt, że finansami nowej ekipy dość szybko zajęła się w nieładny sposób potraktowana w Platformie prof. Zyta Gilowska, która pierwszym rządowi PiS nadała pewien liberalny rys, obniżając wiele stawek podatkowych i likwidując najwyższy z dotychczasowych progów. Równocześnie jednak rząd spowolnił proces prywatyzacji, a w otwierającym jego prace exposé

Kazimierza Marcinkiewicza pojawiły się odniesienia do kwestii zatrudnienia i demografii, które powróciły po latach w trakcie dwóch pełnych tym razem kadencji. Co jednak istotne, nawet elementy, które można było uznać za liberalizację sfery gospodarczej, w retoryce rządu służyć miały polepszeniu sytuacji ogółu obywateli, w tym pracowników. „Obce jest nam przekonanie, jakoby między troską o rozwój gospodarczy a zasadami solidaryzmu społecznego istniał konflikt natury ideowej lub praktycznej. Takie konflikty zdarzają się tylko wtedy, kiedy rządzący

„POLSKA SOLIDARNA” PRZYNIOSŁA PiS NIE TYLKO WYGRANĄ W WYBORACH PARLAMENTARNYCH, LECZ RÓWNIEŻ, DLA WIELU JESZCZE MNIEJ SPODZIEWANIE, PREZYDENCKICH 2005 ROKU.

z pobudek ideologicznych popadają w skrajności i absolutyzują myślenie w kategoriach makroekonomicznych bądź w kategoriach polityki społecznej” – mówił w exposé Marcinkiewicz. I choć on sam nie zasługuje dziś na zbyt wiele ciepłych słów, być może akurat ten fragment ówczesnego wystąpienia warto politykom odświeżyć i dziś.

Wielki zawód liberałów

Okres późniejszych rządów Platformy kojarzy się nam z wielkim regresem sfery społecznej. Zwijanie państwa w kolejnych dziedzinach

życia, spadek znaczenia i ubożenie prowincji wpisane w politykę rozwoju dyfuzyjno-polaryzującego, podniesienie wieku emerytalnego, wreszcie uruchamianie represji wobec grup mogących zagrozić planom rządu – od kibiców, przez upominających się o pamięć o Smoleńsku, aż do związkowców z zamykanych zakładów, górników, stoczniovców... Lista ta jest bardzo długa. Polska Donaldusa Tuska i Ewy Kopacz solidarna nie była na pewno. Czy jednak była w pełni liberalna? Z punktu widzenia zostawianych coraz częściej samych sobie obywateli, dla których państwo nie chciało być opiekunem, lecz raczej surowym nadzorcą i poborcą podatkowym, zapewne tak. Nawet wtedy, gdy Tusk dość zaskakująco i bez przełożenia na żadne konkretne decyzje zaczynał określać się jako „socjaldemokrata”. Tymczasem jednak i ikony polskiego liberalizmu nie były w pełni zadowolone z działań jego ekipy. Ciekawym epizodem jest tu poparcie, jakiego w 2011 roku nie Platformie, a... Lewicy udzielił szef Business Center Club Marek Goliszewski. – Mamy straszliwy dług publiczny, mamy deficyt budżetu państwa, mamy biurokrację i sądy, które przeciągają procesy gospodarcze w nieskończoność. Bardzo liczyliśmy na PO, ale nie idzie to tak, jak trzeba – mówił mediom Goliszewski, tłumacząc zawarcie porozumienia programowego między dowodzoną przez niego grupą biznesmenów a liderem SLD Wojciechem Olejniczakiem. A więc mało kto był zadowolony, tyle że w 2015 roku o wyborach przesądziły głosy niezadowolonych pracowników, studentów, rolników i emery-

tów, a nie biznesmenów i wyższej kadry kierowniczej.

Przekleństwo Polskiego Ładu

Pominę w tych rozważaniach pierwszą kadencję rządów PiS. To czas wielkich programów społecznych, podniesienia poziomu życia i na ogół udanych reform (z wyjątkiem porażki polityki mieszkaniowej wywołanej zbyt wielkim oporem deweloperów i samorządów). W 2020 roku PiS musiało mierzyć się z pandemią i jej skutkami i – chyba już nawet o tym nie pamiętając – w pewnym stopniu wpisało się w tezy exposé Marcinkiewicza. Rządowa pomoc trafiała bowiem do przedsiębiorców, często szczerze PiS nienawidzących, jednak jej celem było przede wszystkim

NAWET ELEMENTY, KTÓRE MOŻNA BYŁO UZNAĆ ZA LIBERALIZACJĘ SFERY GOSPODARCZEJ, W RETORYCE RZĄDU PiS SŁUŻYĆ MIAŁY POLEPSZENIU SYTUACJI OGÓŁU OBYWATELI, W TYM PRACOWNIKÓW.

ratowanie miejsc pracy – i to się udało. Inaczej niestety potoczyły się losy tzw. Polskiego Ładu. Po pierwsze, rząd zaskakująco przegapił fakt, że realnie tracący na zmianach niewielki procent społeczeństwa posiada środki pozwalające na zdominowanie debaty publicznej, a w efekcie wywołanie powszechnego wrażenia, że tracących jest więcej niż zyskujących i nieodczuwających skutków zmian. Po drugie, w efekcie ustępstw reforma straciła swoich bardziej prosocjalnych zwolenni-

ków, nie dając w zamian poparcia biznesu. Co więcej, zmiany uderzyły w część drobnych przedsiębiorców, również tych o prawicowej proweniencji, co spowodowało spore rozczarowanie. W efekcie program zapamiętany został jako porażka i stał się jedną z przyczyn, którymi w 2023 roku tłumaczono niewystarczający do utrzymania władzy wynik wyborów. Niestety, w ostatnich miesiącach można odnieść wrażenie, że właśnie widmo tamtej porażki, przede wszystkim komunikacyjnej przecież, rzuca cień na niektóre wypowiedzi części polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Trauma i recydywa

Obecny rząd lekceważy całkowicie problemy pracowników niemal wszystkich sektorów. Protesty rolnicze zostały wręcz spacyfikowane, zatrudnieni przez państwowe firmy spotykają się z wrogością za trudnianych przez państwo menadżerów (czego przykładem ekstremalnym jest sytuacja w PKP Cargo, którego władze są na wojennej

ścieżce ze związkowcami, o czym wielokrotnie pisali nasi autorzy), a coraz częściej tracący prace robotnicy innych firm nie mogą liczyć na żadne zainteresowanie ze strony koalicji 13 grudnia. Te czynniki doprowadziły zresztą do rozłamu lewicy, lecz na sejmową arytmetykę zbytnio to nie wpłynęło. Równocześnie jednak i grupy oczekujące od ludzi Tuska liberalizacji fiskalnego w większości nie mają powodów do zadowolenia. PiS natomiast próbuje równocześnie utrzymywać

swój prosocjalny profil, jak i zabiegać o głosy zawiedzionych z tej ostatniej frakcji. A to nie zawsze da się pogodzić. Już startujący na prezydenta Warszawy Tobiasz Bocheński dla wielu potencjalnych wyborców zbyt mocno odnosił się do problemów lepiej sytuowanych i częściej popierających PO grup, przez co stracił zapewne trochę głosów na rzecz Magdaleny Biejat. Dość długo niejasne było też stanowisko PiS w sprawie obniżenia

składki zdrowotnej, a część jego działaczy odcinała się od własnych posunięć sprzed raptem kilkunastu miesięcy. Być może niektóre z rozwiązań ładu można poddać korekcie, jednak pojawiające się deklaracje wsparcia turboliberalnej propozycji Ryszarda Petru, której pierwsza wersja wręcz premiowała lepiej zarabiających, budziła zaniepokojenie. Prowokowało to uwagi, że PiS w opozycji zachowuje się jak Platforma (i odwrotnie), i zaniepokojenie części prosocjalnej elektoratu. Gdy wspomniany już Bocheński opublikował wpis o gnieniu wolności gospodarczej przez UE, został on raczej chłodno przyjęty przez sympatyków, którzy uznali go za pochwałę dzikiego kapitalizmu z czasów początku polskiej transformacji. I choć UE jest na tym polu za co krytykować, PiS musi bardzo pamiętać o wrażliwości swoich wyborców. I wyjaśnić im, samemu o tym nie zapominając, że polityka prorozwojowa, również ta dająca więcej swobody pracodaw-

com, nie musi być antypracownicza. Trauma po transformacji, dokarmiana stale przez przykłady rabunkowego wręcz nastawienia dużej części biznesu, jest wśród wyborców wciąż

żywa. I to w ich potrzeby PiS trafiło w roku 2005, a później – 2015. Oczywiście i te grupy elektoratu zmieniały swoje nastawienie do wielu spraw w miarę, jak poprawiała się ich sytuacja ekonomiczna. To jedna strona medalu. Obsłużyć ją powinno odwoływanie się do aspiracji

i modernizacji, na którym to polu Prawo i Sprawiedliwość ma przecież bardzo wiele do zaoferowania. Czym innym jest jednak doktryna łączenia wspierania pracodawców z troską o pracowników i ogół obywateli, zaprezentowana w exposé z 2005 roku

REALNIE TRACĄCY NA ZMIANACH NIEWIELKI PROCENT SPOŁECZEŃSTWA POSIADA ŚRODKI POZWALAJĄCE NA **ZDOMINOWANIE** DEBATY PUBLICZNEJ.

Konsensus, którego nie ma

Pominałem w tych rozważaniach kwestię liberalizmu obyczajowego, zwłaszcza w kwestii aborcji, pamiętać jednak trzeba, że również tutaj kryje się podobne ryzyko. Polacy z jednej strony zdają się akceptować w dużej części system oparty na dwóch wielkich partiach politycznych, równocześnie jednak nie są – jak się zdaje – gotowi na współistnienie w ramach tych partii wielu nurtów i postaw, jak to się dzieje w polityce amerykańskiej. Dlatego też warto czasem przywołać do porządku tych z polityków, którzy szukają głosów tak daleko, że gotowi są zapomnieć o własnym politycznym zapleczu. Prawo i Sprawiedliwość nie jest tu żadnym wyjątkiem. Problem ten dotyczy też wyborów prezydenckich. Nie tak dawno związana dziś z PiS Agnieszka Ścigaj mówiła w rozmowie z Elizą Olczyk, że panuje konsensus, iż kandydat PiS powinien być konserwatywny obyczajowo i liberalny gospodarczo. Wydaje się to daleko idącym, stojącym w sprzeczności z całą historią tej partii wnioskiem. Liberalizmu

WARTO CZASEM PRZYWOŁAĆ DO PORZĄDKU TYCH Z POLITYKÓW, KTÓRZY SZUKAJĄ GŁOSÓW TAK DALEKO, ŻE GOTOWI SĄ **ZAPOMNIEĆ** O WŁASNYM POLITYCZNYM ZAPLECZU.

i obecna też w późniejszych o 15 lat działaniach osłonowych, a czym innym ściganie się na liberalizm z liberałami spod sztandarów pierwszego miliona, który trzeba było ukraść.

do wyborów będziemy mieć już dosyć, a instytucjonalne wsparcie w obliczu antyludzkiej gospodarki ekipy Tuska może mieć kluczowe znaczenie dla obywateli. **S**

Zamazywanie śladów rosyjskich wpływów

Odwracanie pojęć, zacieranie śladów, snucie podejrzeń i rzucanie insynuacji – jednym słowem: wszystko, tylko nie fakty. Na tym polega ściganie wpływów rosyjskich w Polsce przez ekipę Donalda Tuska. Celem powołanej przez nią komisji nie jest dojście do prawdy, ale przykrycie jej tak **grubą warstwą kłamstw** i półprawd, by w przyszłości każda próba opisanie, dokąd sięgają moskiewskie macki, była skazana na klęskę.

| Mariusz Staniszewski |



Fot. Grażyna Wyśłńska / Forum

Jeśli ekipa Donalda Tuska chciałyby prowadzić realne dochodzenie w sprawie osób działających na rzecz wroga, wschodniego mocarstwa, musiałaby skupić się na sobie samej i własnych sojusznikach. Premier i jego otoczenie nie są jednak samobójcami. Dlatego zrobią wszystko, by sprawę ośmieszyć, zagmatwać i znudzić nią opinię publiczną. To typowa dla służb specjalnych operacja dezinformacyjna, którą wcześniej zastosowano np. w sprawach:

śmierci Andrzeja Leppera, kontaktu polskich służb z afgańskimi mudżahedinami (skończyło się na lądowaniu talibów w Klewkach), samobójstwa gen. Sławomira Petelickiego, katastrofy smoleńskiej, śmierci byłego szefa komisji śledczej ds. Orłenu, posła PSL Józefa Gruszki czy okoliczności utracenia kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach prezydenckich w 2005 r.

Żadna z tych spraw nie została do końca wyjaśniona, a politycy, historycy czy dziennikarze, którzy zajmują się daną sprawą, nigdy nie mogą znaleźć ostatecznego dowodu potwierdzającego jedną wersję wydarzeń. Skazani na interpretacje trafiają do kategorii wyznawców teorii spiskowych lub zostają ogłoszeni oszołomami. Co więcej, nawet jeśli dojdą do prawdy, nikt nie chce już o niej słyszeć, gdyż temat został wcześniej ośmieszony i na tyle wyeksploatowany, że media nie chcą się nim zajmować. Ostateczne ustalenia nie docierają więc do szerokiej opinii publicznej (tak było na przykład z talibami w Klewkach).

Przerażające fakty

Gdybyśmy przez chwilę przyjrzeni się rosyjskim wpływom bez emocji i kierowali się jedynie logiką oraz faktami, nie mielibyśmy wątpliwości, gdzie należy szukać moskiewskich macek.

Leszek Miller do dziś nie rozliczył się publicznie z zaciągnięcia

Leszek Miller
do dziś nie rozliczył
się publicznie
z zaciągnięcia
pożyczki w Moskwie
na budowę lewicy
w Polsce.

pożyczki w Moskwie na budowę lewicy w Polsce. Później wielokrotnie udawał, że jest wiernym sojusznikiem Kremla, czego najbardziej jaskrawym dowodem była

rezygnacja z gazociągu łączącego Polskę z Norwegią. Wyjątkowo korzystne warunki wynegocjował rząd Jerzego Buzka, ale nie zdążył projektu zrealizować, gdyż prawica przegrała wybory w 2001 r. Już wówczas mogliśmy rozpocząć proces uniezależniania się od rosyjskiego gazu, ale z powodu decyzji Leszka Millera przez dwie kolejne dekady pompowaliśmy na Wschód pieniądze, dzięki którym Rosja odbudowywała swój militarny potencjał.

Donald Tusk pojechał do Moskwy, by spotkać się z Władimirem Putinem w czasie trwającej wówczas w Rosji kampanii wyborczej. Wsparcie udzielone byłemu kagiebiście miało w przyszłości skutkować normalizacją relacji polsko-rosyjskich. Tyle tylko, że na ustępstwa szła jedynie Warszawa. Tusk za darmo wycofał sprzeciw wobec członkostwa w Międzynarodowej Organizacji

Handlu i zrezygnował z budowy tarczy antyrakietowej w Polsce, przesunął jednostki wojskowe ze wschodniej Polski za linię Wisły, zgodził się na współpracę polskich i rosyjskich służb specjalnych, co skutkowało dostępem Moskwy do tajemnic NATO czy wreszcie oddał Rosjanom śledztwo smoleńskie.

Radosław Sikorski był autorem pomysłu, by Rosję przyjąć do NATO, zaprosił Siergieja Ławrowa na odprawę polskich ambasadorów (co jest zwykłym aktem szczególnego zaufania i przyjaźni), próbował skłonić Ukraińców protestujących na Majdanie do porozumienia z prorosyjskim prezydentem Wiktorem Janukowyczem (na szczęście Ukraińcy go nie posłuchali) czy powtarzał kremlofską propagandę o planowaniu rozbioru Ukrainy przez Polskę na początku wojny w 2022 roku.

Podobne przykłady mniej znaczących polityków obozu liberalno-lewicowego można by wymieniać długo. Takie działania trudno przypisać Prawu i Sprawiedliwości, które zresztą Tusk i jego zaplecze wielokrotnie oskarżali o rusofobię.

Żadnych zysków

Politykę tę dosadnie opisuje częstkowy raport Państwowej Komisji ds. Badania Wpływów Rosyjskich w Polsce, której przewodniczył

prof. Sławomir Cenckiewicz.

„Polityka rządu PO – PSL, skoncentrowana na dążeniu do poprawy stosunków z Rosją, wdrażana od przełomu lat 2007/2008, skutkowałą zaniechaniem aktywnej polskiej polityki wschodniej i w znacznej mierze

przytłumiła proamerykański nurt polityki polskiej, co najwyraźniej demonstrowane było w sprawie rokowań na temat rozmieszczenia elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce, przeciw czemu zdecydowanie oponowała Moskwa. Stosunki z Rosją, mimo daleko posuniętej ustępliwości rządu polskiego po 2007 r. [...] nie przyniosły wymiernych efektów, lecz szereg upokorzeń i demonstracji wrogości ze strony Rosji

(raport MAK, kolejne embargo, deklaracje ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja

Ławrowa i wiceministra Andrieja Niestierienki z 2009 r., godzące w suwerenne prawo Polski do decydowania o wojskowym wykorzystaniu własnego terytorium i w także prawo Ukrainy i Gruzji do swobodnego wyboru sojuszy, połączone z próbą narzucenia Polsce sowieckiej wizji historii II wojny światowej, manewry Zapał 20097 i 20138 itd.)”.

Reakcja Moskwy na polską uległość nie mogła być zresztą inna, gdyż Rosjanie nie szanują uległości. Gardzą tymi, którzy zabiegając o ich względy, nie dbają o swoje interesy. Zwłaszcza że z powodu tej polityki Polska pozbawiała się roli regionalnego lidera, który nie tylko doskonale rozumie politykę Kremla, ale skutecznie potrafi się jej przeciwstawić.

Mówi o tym kolejny fragment raportu: „Powołując w 2011 r. strefę małego ruchu granicznego obejmującą obwód królewiecki i przygraniczne powiaty województw pomorskiego i warmińsko-mazurskiego, Polska zrywała z polityką solidarności z Litwą w odniesieniu do tej rosyjskiej eksklawy, otwierała się na penetrację transgraniczną służb rosyjskich i rosyjskich grup kryminalnych oraz wytwarzała sytuację uprzywilejowa-

nia Rosjan w stosunku do Ukraińców i Białorusinów, w której obywatelom państw objętych Partnerstwem Wschodnim było trudniej podróżować do UE niż obywatelom Federacji Rosyjskiej, gdyż podobne regulacje nie istniały w takich rozmiarach na pograniczach polsko-białoruskim i polsko-ukraińskim”.

Działania tandemu Tusk – Sikorski zakładały więc uprzywilejowaną pozycję Rosji w polskiej polityce

wschodniej. Nie tylko traciliśmy ogromny atut na arenie międzynarodowej, jakim była chłódna i realna ocena

neoimperialnej polityki rosyjskiej (materiały ujawnione przez WikiLeaks pokazują, jak bardzo ceniły to na przykład służby amerykańskie), ale też podkopywała zaufanie krajów byłego Związku Sowieckiego, które pragnęły uniezależnić się od Kremla.

Uznanie, że między Polską a Rosją nie ma znaczących podmiotów, z którymi warto rozmawiać, godziło wprost w interesy naszego kraju.

Utrzymać się w europejskim nurcie

Oczywiście nie możemy jednoznacznie powiedzieć, jakie przesłanki kierowały postępowaniem Tuska i Sikorskiego – w przypadku Millera takich wątpliwości raczej mieć nie można, gdyż jego korzenie i lojalność skierowane są na Wschód – ale trudno się spodziewać, by łączyły ich jakieś szczególne więzy z Kremlem. Problemem jest raczej absolutny serwilizm i uległość wobec Niemiec oraz upatrywanie w polityce wyłącznie szanse na prywatną, międzynarodową karierę. Tuskowi to się zresztą udało, Sikorski ciągle żyje nadzieją, że tak się stanie.

Obaj doskonale wiedzieli, że do 2022 roku, czyli do momentu

inwazji na Ukrainę, kluczem do kariery w międzynarodowych, szczególnie europejskich, organizacjach była przychylność Kremla. Wpływy rosyjskie w Unii Europejskiej były tak wielkie, że to często właśnie Moskwa decydowała o kształcie polityki europejskiej. Najlepszym przykładem tego jest projekt transformacji energetycznej, który miał być oparty na tanim gazie z Rosji.

W rzeczywistości porozumienie Berlina i Moskwy w sprawie budowy dwóch gazociągów po dnie Bałtyku, a następnie realizacja inwestycji, powodowało, że cała Europa Środkowa miała być uzależniona od dostaw energii z Rosji. Dystrybutorem gazu miały być Niemcy, które dzięki temu wzmacniały swoją pozycję ekonomiczną i polityczną.

Dążenie do „płynięcia w głównym europejskim nurcie” – co było jednym z głównych celów polityki zagranicznej Polski w latach 2007–2015 – musiało doprowadzić do zbliżenia z Władimirem Putinem. Nawet kosztem interesów własnych i najbliższych sojuszników.

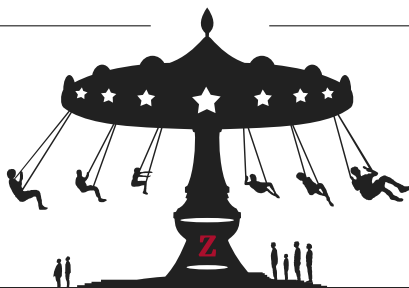
Prawdopodobnie w polskiej elicie politycznej nie znajdziemy rodzimej „piątki z Cambridge”, czyli wysoko postawionych postaci zwierzbowanych przez służby Kremla i otwarcie dla niego pracujące. Sprzyjanie interesom Moskwy wynika raczej z ambiwalentnego stosunku do państwa i traktowania go przez liberalno-lewicowe elity polityczne bądź jako trampoliny do zajęcia dobrze płatnego stanowiska w „centrali” UE, bądź jako bytu zbyt słabego, by był zdolny przeciwstawić się takiej potęgze jak Rosja.

Rzeczpospolita ma dla nich sens istnienia jedynie w ramach europejskiej federacji, w której ktoś inny – silniejszy i poważniejszy – zajmuje się kwestiami bezpieczeństwa.

Ten stan świadomości jest znacznie niebezpieczniejszy niż zdrada kilku renegatów. **S**

Radosław Sikorski
był autorem pomysłu,
by Rosję przyjąć do
NATO.

KARUZELA



BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM”)

CO ZWYCIĘSTWO TRUMPA MÓWI NAM O WOLNOŚCI SŁOWA?

PATRZĄC NA NAGŁÓWKI W MEDIACH, TRUDNO JUŻ zaprzeczyć, że 47. prezydentem Stanów Zjednoczonych został nie kto inny jak Donald Trump, i to po 4 latach przerwy!

Co prawda w USA nie ma wyborów bezpośrednich, więc będziemy musieli jeszcze poczekać kilka tygodni na zjazd Kolegium Elektorów, jednak tylko najwięksi teoretycy spiskowi mogliby uznać, że elektorzy niespodziewanie nie wybiorą Donalda Trumpa. W końcu reprezentanci poszczególnych stanów powinni zagłosować zgodnie z wolą wyborców, a ci wskazali kandydata Republikanów. Już wiadomo, że były prezydent zebrał co najmniej 270 wymaganych „szabel”, więc kolejne terminy, tj. zwołanie Kolegium 17 grudnia, ogłoszenie zwycięzcy 6 stycznia oraz zaprzysiężenie 20 stycznia, powinny być tylko formalnością.

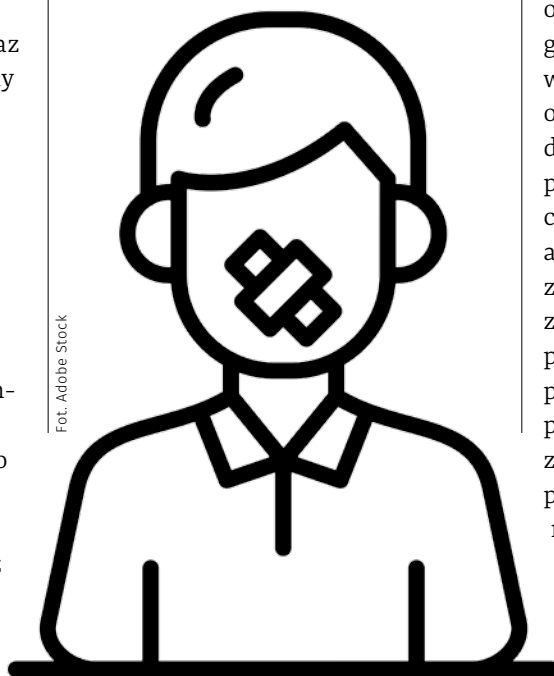
Wróćmy do podstawowego pytania, które umieściłem w tytule niniejszego felietonu. Czy to właśnie wolność słowa, wciąż jeszcze obecna w internecie m.in. w ramach niezależnych mediów społecznościowych czy platform wideo, zapewniła Donaldowi Trumpowi zwycięstwo? Z pewnością był to jeden z czynników, przykładowo biorąc pod uwagę fakt, jak wielkie wsparcie otrzymał on na X (dawnym Twitterze) kierowanym przez Elona Muska. Nie wspominając już o tym, że za sprawą nowego właściciela w ogóle jego profil

został odblokowany. Jak pamiętamy, po zamieszkach na Kapitolu były prezydent dostał bana od największych gigantów technologicznych, potocznie określanych mianem big tech. W efekcie Donald Trump zdecydował się na uruchomienie własnej platformy Truth Social.

– Wygrana Donalda Trumpa pokazuje nam coś bardzo istotnego. Oto kandydat, którego media mainstreamowe przedstawiały niemalże wyłącznie negatywnie, wygrywa wybory. Co to dla nas oznacza? Otóż dzisiaj internet i social media są niezwykle ważnymi środkami przekazu, dlatego że – jak widać – mogą nawet pomóc w zostaniu

prezydentem supermocarstwa. Lekcja z tego taka, że musimy zadbać o pełną wolność słowa i internet bez cenzury. Same portale czy telewizje nam nie wystarczą, jeżeli nie będziemy mieli odpowiednich środków, a zwłaszcza platformy, czyli miejsca, które pozwoli tym mediom trafiać ze swoim przekazem do wszystkich – wskazuje Łukasz Bartoszek z Softwarehood, jeden z założycieli polskiej platformy wideo BanBye.com, która programowo sprzeciwia się praktykom cenzorskim w internecie.

Analizując wyborcze zapowiedzi Donalda Trumpa, możemy przyjąć, że jego przyszła administracja zamierza zrewidować obecne regulacje i wdrożyć strategię, które zwiększą wolność słowa w przestrzeni publicznej. Mowa o planach przeciwdziałania rządowym restrykcjom, chociażby poprzez nałożenie zakazu ograniczania treści w sieci przez federalne agencje. Chodzi m.in. o skończenie ze współpracą agentów rządowych z platformami społecznościowymi przy moderowaniu treści. A przypomnijmy, że ujawnienie tego typu praktyk na X (Twitterze) było jedną z pierwszych decyzji Elona Muska po przejściu serwisu. Pozostaje mieć nadzieję, że nie skończy się tylko na słowach, a nowy prezydent poważnie zajmie się problemem lewicowo-liberalnego dyktatu. **S**



Fot. Adobe Stock

„A te skrzydła jak sztandary...”

Wokół Marszu Niepodległości co roku odbywa się jakaś „inba” tudzież „dym”. Co roku też uczestniczy w tym wydarzeniu od kilkudziesięciu do ponad 200 tysięcy (jak w 2018 roku) Polaków. Czy te dwa fakty są ze sobą powiązane? Sądzę, że tak.

Agnieszka Żurek

Marsz Niepodległości to chyba jedyne wydarzenie patriotyczne, które gromadzi tak szerokie rzesze ludzi. Jego siłą są oddolność i powszechność tej inicjatywy.

„Kto polskie barwy będzie pokazywał, zostanie ukarany”

Choć co roku padają z różnych stron oskarżenia (bywa, że uzasadnione) o próby zawłaszczania Marszu, jego uczestnicy nic sobie z tego nie robią i przychodzą niezależnie od tego, kto w danym momencie rządzi Polską, i od tego, czy w danym roku Marsz jest mile widziany, czy uważany za przejaw „faszyzmu”.

Walka z obchodami Narodowego Święta Niepodległości ma prawie tak długą historię, jak samo święto. „UWAGA! Kto 11 listopada 1939 r. dokona zaburzenia spokoju i porządku publicznego, szczególnie, kto obowiązkowo nie będzie wykonywał swojej pracy albo też swojej służby, sklepy, a szczególnie sklepy spożywcze, będzie miał zamknięte, polskie barwy w jakimkolwiek zestawieniu będzie pokazywał, brał udział w pochodach, albo przez przemówienia, względnie niedozwolone zebrania ludności podburzał, będzie surowo

ukarany” – głosiło obwieszczenie wydane w Lublinie 9 listopada 1939 r. przez niemieckiego okupanta, oberbürgermeistra Friedricha Sauermanna.

O ile eksponowanie polskich barw narodowych było surowo karane w okresie niemieckiej okupacji, o tyle okupacyjne władze sowieckie początkowo próbowały wkupić się w łaski polskiego narodu, udając przyjazny stosunek do świąt patriotycznych. „Pierwsze zorganizowane przez władzę komunistyczną obchody 11 listopada odbyły się już w 1944 r. – na terenach dopiero co odbitych przez armię czerwoną z rąk niemieckich. Polska Partia Robotnicza i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego korzystały z okazji, by podkreślić swe przywiązanie do patriotycznych tradycji. Program obchodów Święta Niepodległości przewidywał, że uroczystości będą miały charakter masowy. «Każda miejscowość, szczególnie wieś, częstokroć oddalona od centrów miej-

skich, powinny odczuć, że dzień ten jest istotnie wielkim świętem całego narodu» – zalecał ókólnik Resortu Informacji i Propagandy” – pisze dr Piotr Osęka na łamach portalu Muzeum Historii Polski.

„Najbardziej skrajne, kontrrewolucyjne siły...”

W miarę postępowania komunistycznego zniewolenia robiło się jednak coraz mniej różowo, a coraz bardziej czerwono. Władze z nadania moskiewskiego walczyły z obchodami 3 maja i 11 listopada, w zamian forsując celebrowanie „święta” 22 lipca, czyli rocznicy podpisania Manifestu PKWN. Mimo to oddolne obchody rocznic: uchwalenia Konstytucji 3 maja oraz odzyskania



Fot. T. Gutry

Zesłtoroczny Marsz Niepodległości

niepodległości po I wojnie światowej były świętowane przez polskie podziemie antykomunistyczne, szczególnie w okresie tuż po powstaniu Solidarności. Demonstracje te były brutalnie tłumione, a ich uczestnicy więzieni i represjonowani. „Najbardziej skrajne, opozycyjne siły, o jawnie kontrrewolucyjnym charakterze, prą do swego rodzaju konfrontacji. Musimy być bardzo wyczuleni na dzień 11 listopada” – mówił w 1984 roku na posiedzeniu rządu Wojciech Jaruzelski.

W ostatnim dwudziestolecu, już w wolnej Polsce, zdarzały się Marsze zagrożone rozwiązaniem, rozpędzane gazem i pałowaniem, ale także spokojne, godne, „zwyczajne”. I choć milej jest pójść na Marsz, nie

zastanawiając się nad tym, czy mimo spokojnego zachowania oberwie się od policji gazem albo – co gorsza – nawet gumową kulą, jak nasz fotoreporter Tomasz Gutry, to jednak walka z Marszem Niepodległości niewątpliwie go wzmacnia.

Mało jest już we współczesnym świecie idei, które wzbudzają prawdziwe emocje i sięgają głębi naszej tożsamości. Z jednej strony razi nas patos lewackich dram w stylu Mai Ostaszewskiej, z drugiej zaś nie lubimy sztywnych „akademii ku czci”, jakie w pewnym momencie stały się znakiem rozpoznawczym PiS-u. Jesteśmy na dodatek przebudźcowani i zwyczajnie mamy dość tego, że ciągle każe nam się czymś oburzać lub zachwycać. Chcemy się oburzać

i zachwycać po swojemu. Programowo nie ufamy władzy, toteż kiedy rządzący walczą z Marszem Niepodległości, zazwyczaj mamy większą ochotę w nim uczestniczyć. Kiedy zaś Marsz cieszy się poparciem rządu, a na jego czele staje prezydent – choć jest to przecież normalne – zaczynamy się krzywić, bo mamy wówczas wrażenie, że na naszą oddolną, nieco „rebeliancką” imprezę wpadł pan wychowawca i postanowił zostać na niej wodzirejem. Być może bywamy w tym buncie nieco niedojrzali i z pewnością nasza narodowa przekora i kłótniowość spowalniają nasz proces wzrostu w czasach pokoju. Ile razy jednak te cechy uratowały nas w okresach zniewolenia i prób narzucania nam władzy totalitarnej? Powinniśmy naszą przekorę chronić i pielęgnować, bo ona w istocie jest emanacją polskiego ducha wolności. Tyle razy w naszej historii byliśmy za nasz patriotyzm wyszydzani, zawstydzani, poniżani, a nawet represjonowani fizycznie, że nauczyliśmy się go chować pod maską obojętności bądź szorstkości przywdziewaną przez „typowych polskich Januszów”. Przywiązanie do ojczyzny jest w nas jednak głęboko zakorzenione i wybucha właśnie przy takich okazjach, jak święto 11 listopada. Świetnie uchwycił to poeta Ernest Bryll w utworze „Polskie skrzydła” śpiewanym przez Danutę Rinn:

*Jadą husarze od pracy
Z połamanymi skrzydłami
Które jak garb ogromny
Skrzywają pod płaszcami
[...]*

*A te skrzydła połamane
Deszczem ogniem wysmagane
A te skrzydła jeszcze grają
Jeszcze polskie pieśni znają
A te skrzydła jak sztandary
Niepodległej starej wiary
Jeszcze mają blask
Jeszcze mają blask... S*



DZIEDZICZENIE

nierówności



W cieniu niedawnego projektu Konfederacji, firmowanego jako autorski przez jej kandydata na prezydenta Sławomira Mentzena, **ożyła** na chwilę dyskusja na temat podatku od spadków.

Konrad Bonisławski

Wnioskodawcy proponowali likwidację podatku od spadków, co ciekawe – przy pozostawieniu podatku od darowizn, w którym progi zwolnień i zwolnienia podmiotowe są obecnie takie same. Doktor ekonomii i doradca podatkowy Sławomir Mentzen w ustnym uzasadnieniu powtórzył wszelkie emocjonalne i antypaństwowe mantry słyszane często

przy okazji dyskusji o podatkach, dodatkowo podlane – co odróżnia go od bezbożnych liberałów – etycznym i emocjonalnym sosem. A to, że ten podatek zniechęca do oszczędzania, iż rzekomo żeruje na ludzkich tragediach, dyskryminuje ludzi bez rodziny i podwójnie opodatkowuje majątek.

W roku 2006, głosami PiS i LPR, de facto zlikwidowano podatek

od spadków i darowizn w gronie najbliższej rodziny, zwalniając od podatku spadki i darowizny od m.in. rodziców, dzieci, rodzeństwa, pasierbów, ojczyzna czy macochy. Warunkiem jest zgłoszenie otrzymania darowizny do Urzędu Skarbowego. W praktyce osoby spokrewnione w dalszym stopniu i zupełnie niespokrewnione ze sobą tak często się nie obdarowują ani też nie dziedziczą po sobie



Fot. Adobe Stock

ustawowo lub na mocy testamentu. Nazywanie więc dzisiaj przez Mentzena podatku od spadków i darowizn „podatkiem od wdów i sierot” w obecnym stanie prawnym jest zwyczajnie nieaktualne.

Na konferencji prasowej Mentzen podniósł też i to, że osoby pozbawione rodziny lub żyjące w związkach nieformalnych są dyskryminowane na tle podatku

od spadków i darowizn. Zostawiając nawet na boku dyskusję wokół związków nieformalnych, w tym homoseksualnych, bo i tak na nich skupiła się krytyka projektu, wypada zauważyć, że obdarowany spadkiem lub darowizną uzyskuje korzyść, a w przypadku problemów z opłaceniem z uzyskanej korzyści podatku, może się go zrzec.

Jakie są funkcje podatków?

Mentzen słusznie podnosi, że podatek ten nie przynosi wielkich wpływów budżetowi, w tym wypadku samorządom. Cieszy przy okazji to, iż wyjątkowo Konfederacja zajmuje się stroną kosztową, budżetową składanych propozycji. Mniej nadzieję, że również przy najhojniejszych i najdroższych pomysłach podatkowych kalkulatory polityków nadal będą włączone.

Faktycznie wpływy z podatek od spadków i darowizn to obecnie około 500 mln zł, co stanowi około 0,04 proc., a z racji tego, iż wpływy z niego są dochodem jednostek samorządu terytorialnego, przy ich łącznych dochodach na poziomie ok. 175 mld, to niewiele. Przy czym, biorąc pod uwagę wielkość stawek (aktualnie to dopiero od III grupy, czyli osób zupełnie obcych, i powyżej kwoty wolnej wynoszącej ok. 12 tys., to 12%), a także zapewne nikłą wiedzę na temat obowiązku podatkowego powodującego – pew-

nie częściej raczej z niewiedzy niż złej woli – powstawanie szarej strefy w tym względzie, rzeczywiście nie jest to kwota imponująca.

Jednak poza względami fiskalnymi istnieje też uzasadnienie dla podatku od spadków odnoszące się do sprawiedliwości społecznej. Jego celem jest ograniczenie koncentracji bogactwa, redystrybucja majątku oraz zapewnienie sprawiedliwości społecznej.

Z kolei w krajach, w których

zrezygnowano z podatku od spadków, argumentuje się, że takie rozwiązanie upraszcza system podatkowy i eliminuje problemy z podwójnym opodatkowaniem majątku.

BEZ OPODATKOWANIA SPADKÓW ROZWARSTWIENIE MAJĄTKOWE BĘDZIE ROSŁO, POSTĘPOWAĆ BĘDZIE AKUMULACJA KAPITAŁU W RĘKACH NIELICZNYCH RODZIN.

Podatek od spadku na świecie

Mentzen powołuje się też na przykłady państw, gdzie podatek od spadku nie istnieje. W UE

faktycznie nie ma takiego podatku, m.in. w postkomunistycznych Czechach, Słowacji, Łotwie, Estonii i Rumunii. By jednak spojrzeć na świat szerzej, w szczególności na państwa bogatsze, to znajdziemy obraz wysoce niejednorodny. W Wielkiej Brytanii podatek od spadków wynosi 40% od wartości majątku przekraczającej próg 325 000 funtów (w przypadku małżeństw próg może być podwójny). Istnieją także dodatkowe ulgi dla osób przekazujących majątek

na cele charytatywne lub dziedziczących nieruchomości. Przy czym brytyjska sekretarz skarbu Rachel Reeves zapowiedziała niedawno, że próg zostanie zamrożony do 2030 roku, a później prawdopodobnie dostosowany np. zgodnie z poziomem inflacji. Prawo Zjednoczonego Królestwa również przewiduje wyższy próg zwolnienia dla małżeństw i związków partnerskich.

Wprowadzenie wysokich stawek dla dużych majątków ma na celu ograniczenie koncentracji bogactwa, ale jednocześnie szerokie ulgi dla nieruchomości i darowizn na cele charytatywne wspierają określone polityki społeczne i gospodarcze.

We Francji z kolei progresywny podatek od spadków ma zmniejszać dość duże i zakorzenione nierówności społeczne i przeciwdziałać kumulacji majątku w rękach finansowej arystokracji. Stawki wahają się od 5 do 45%, a progi zwolnień są stosunkowo niskie jak na siłę nabywczą pieniądza w tym kraju, np. do 100 000 euro dla najbliższych krewnych. Również w Niemczech obowiązuje progresywny podatek od spadków, z różnymi stawkami i progami w zależności od stopnia pokrewieństwa.

Dzieci i bliscy krewni mają wyższe progi zwolnień (do 400 000 euro) i niższe stawki, natomiast dalsi krewni i osoby niepokrewnione muszą płacić wyższe stawki, które mogą wynosić do 50%. Z kolei w Holandii stawki podatku od spadków zależą – podobnie jak w Polsce – od relacji rodzinnej łączącej spadkobiercę ze zmarłym i wartości spadku. Przy czym w przypadku bliskich krewnych (np. dzieci)

stawki wahają się od 10% do 20%, a dla dalszych krewnych i osób niepokrewnionych od 18 do 36 procent. Wprowadzenie podatku od spadków proponują aktualnie austriaccy socjaldemokraci, co zresztą jest kością niezgody w negocjacjach nad wielką koalicją w tym kraju.

Pośród państw rozwiniętych dominuje jednak opodatkowanie spadków, zarówno z przyczyn fiskalnych, zarówno redystrybucyjnych, jak i egalitarystycznych.

Dlaczego opodatkujemy bardziej pracę niż majątek?

Ogólnie rzecz ujmując, w Polsce opodatkujemy pracę i konsumpcję, natomiast podatki majątkowe mają ograniczone znaczenie fiskalne. A nawet podatki majątkowe, jak np. podatek od nieruchomości, są nimi jedynie z pozoru. Albowiem podstawową cechą tego podatku jest klasyfikacja nieruchomości pod kątem przeznaczenia i wielkości nieruchomości, a nie wartości działki czy domu, preferencyjnie

od neoliberalnych recept na wszystko Międzynarodowy Fundusz Walutowy zalecił niedawno Polsce podniesienie do poziomu europejskiego podatku od nieruchomości.

Czy to podatek antyrodzinny?

W debacie nad opodatkowaniem spadków i darowizn w gronie rodziny pojawia się niekiedy argument odnoszący się do antyrodzinnego charakteru wszelkich transferów w obrębie rodziny. W Polsce ten problem będzie się tylko aktualizował, albowiem o ile do niedawna panowała względna równość majątkowa odziedziczona po PRL, o tyle obecnie coraz więcej ludzi będzie dziedziczyć duże majątki. A bez ich opodatkowania rozwarstwienie majątkowe będzie rosło, postępować będzie akumulacja kapitału w rękach nielicznych rodzin. O tym, jak trwałe mogą być fortuny w niektórych społeczeństwach, pokazują np. badania dwóch włoskich ekonomistów Guglielma Baronego i Saura Mocettiego, którzy porównali florenckich podatni-

ków w 2011 i w... 1427 roku. Analiza porównawcza nazwisk najbogatszych mieszkańców miasta wskazała na to, iż przez 600 lat niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o najbogatsze rody w tym mieście. Podobne

badania w Anglii wykazały, że status rodzinny w niektórych przypadkach przetrwał osiem wieków, czyli więcej niż 30 pokoleń.

Dlaczego nierówności szkodzą społeczeństwu

Nawet jeżeli przyjmemy, że odbudowanie dziedzicznej klasy średniej po latach PRL jest zjawiskiem nie tylko naturalnym, spójrzmy na liczbę

CORAZ WIĘCEJ OSÓB W POLSCE ŻYJE JAKBY OBOK PAŃSTWA I SPOŁECZEŃSTWA, Z PRYWATNYM SZKOLNICTWEM, SŁUŻBĄ ZDROWIA, NA STRZEŻONYM OSIEDLU.

opodatkowując budynki mieszkalne. Podstawą opodatkowania jest powierzchnia, a nie wartość nieruchomości. W efekcie czego posiadacz willi i zrujnowanego domu mogą płacić tyle samo. Dla porównania w większości państw rozwiniętych podatek od nieruchomości jest uzależniony od wartości nieruchomości, np. w postaci podatku katastralnego. Przecież niestroniący

by. Polska ma nadal problemy z dość wysokim poziomem ubóstwa i pogłębiającymi się nierównościami. Przeprowadzone w latach 2000–2018 badania „Income inequality in 21th century Poland” pokazały, że nierówności w Polsce są jednymi z największych w Europie. Podczas gdy w 2018 roku udział dochodów górnych 10% wynosił 37,4%, a dla dolnych 50% było to 21,5%. Udział dochodu górnego 1% w całkowitym dochodzie wynosił aż 13,4%. Coraz więcej osób w Polsce żyje jakby obok państwa i społeczeństwa, z prywatnym szkolnictwem, służbą zdrowia, na strzeżonym osiedlu, zapewniając swoim dzieciom daleko lepszy start w życiu niż mają rówieśnicy spoza tej bańki. Tym samym w drugim i kolejnych pokoleniach dystans między takimi rodzinami może się jedynie zwiększać.

To przywilej urodzenia w bogatej rodzinie z klasy średniej poza kapitałem finansowym niesie za sobą często trudny do przecenienia kapitał ludzki, dzięki wykształceniu formalnemu i domowemu, ale może przede wszystkim kapitał społeczny, tj. sieć nieformalnych powiązań rodzinnych i towarzyskich ułatwiających start w życiu i zapewniających bezpieczne lądowanie w przypadku życiowego niepowodzenia.

Mit liberalnej klasy średniej o self-made manie, zawdzięczającym wszystko samemu sobie, bodaj najrzadziej urzeczywistnia się w ramach tej grupy. Wystarczy spojrzeć na przykład Polski ostatnich kilkudziesięciu lat, aby zauważyć, jak rozrósł się rynek prywatnej edukacji, korepetycji i zajęć dodatkowych.

Wobec coraz mniejszej dostępności mieszkań jeszcze istotniejsze staje się obecnie np. dziedziczenie nieruchomości po rodzicach czy rodzinie.

Czym bowiem różni się rozbudownictwo, którego sponsorem jest państwo, od niewyczerpanych często i niekończących się w czasie zasobów, którymi bogaci rodzice mogą obdarowywać swoje potomstwo? Co więcej, dysproporcja szans na sukces życiowy od początku życia w sposób zdecydowany

POŚRÓD PAŃSTW ROZWINIĘTYCH DOMINUJE OPODATKOWANIE SPADKÓW, ZARÓWNO Z PRZYCZYN FISKALNYCH, REDYSTRYBUCYJNYCH, JAK I EGALITARYSTYCZNYCH.

ogranicza konkurencję wśród ludzi, a społeczeństwo mało inkluzywne gnuśnieje i często popada w apatię z uwagi na brak konieczności walki o swoje miejsce na drabinie społecznej, gdyż jest ono od początku zagwarantowane. Gdyby dostęp do wiedzy, edukacji i innych zdobyczy ograniczyć lub rozdzielić nierównomiernie, to społeczeństwo straciłoby potencjalnych liderów, wynalazców, naukowców, itp. To trochę tak, jakby ludny kraj umożliwiał w praktyce trenowanie danego sportu (np. piłki nożnej) jedynie garstce ludzi, licząc, że spośród nich wyłoni się kilkudziesięciu światowej klasy graczy. Wszyscy bowiem doskonale rozumieją, że tylko dopuszczenie szerokiego grona adeptów danej dyscypliny pozwala na konkurencję, selekcję i ostateczny efekt.

W niedawno wydanej książce Pawła Bukowskiego, Michała Brzezińskiego i Jakuba Sawulskiego „Nierówności po polsku” autorzy wśród dziesięciu postulatów na zmniejszenie nierówności społecznych w Polsce proponują opodatkowanie spadków, a następnie podzielenie wpływów z tego podatku po równo wśród pokolenia wchodzącego w dorosłość.

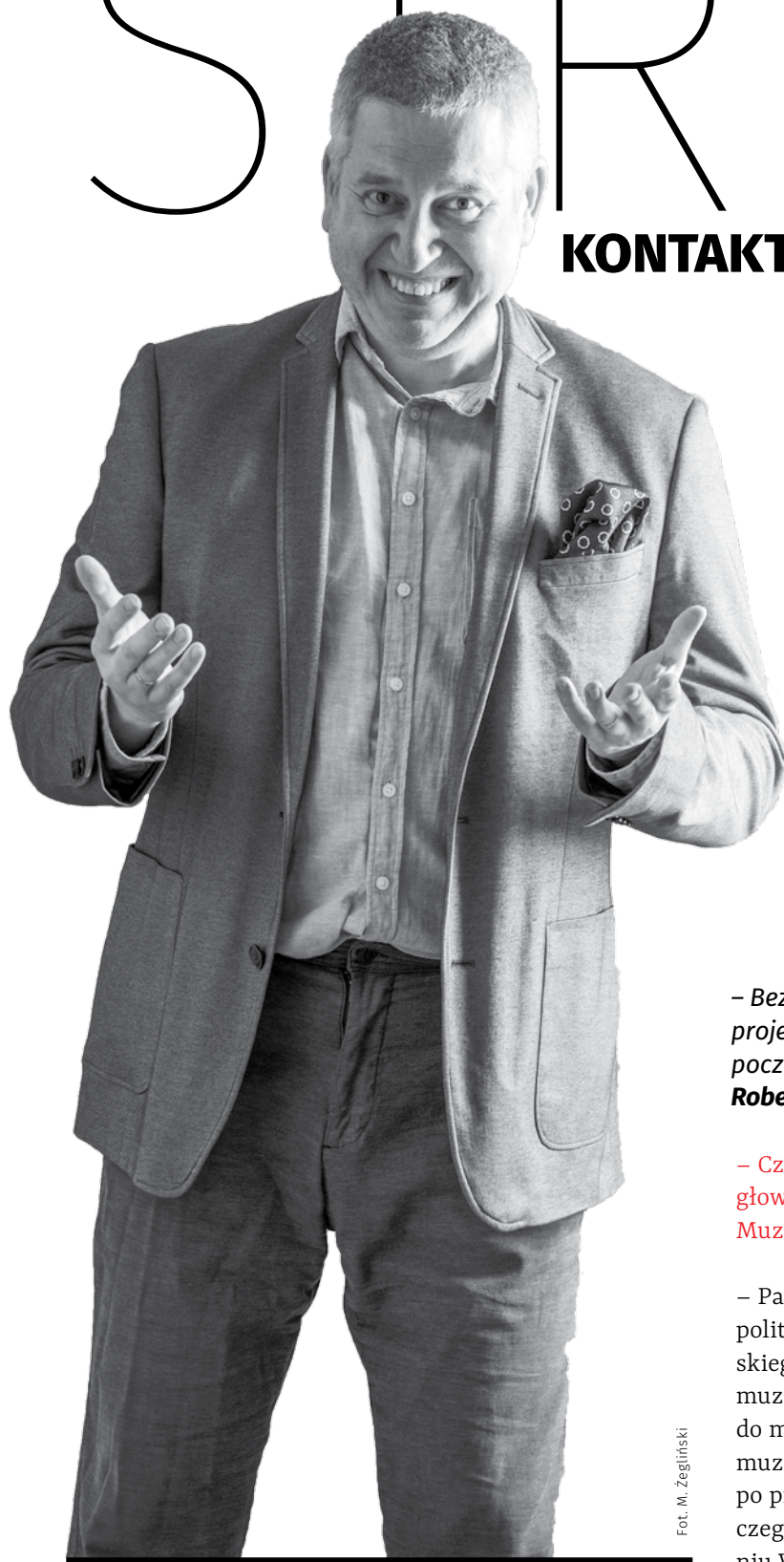
W taki sposób, aby każdy otrzymywał na start w dorosłość określoną kwotę od państwa. Choć rozwiązanie to przy braku kryterium dochodowego czy majątkowego wydaje się nieco zbyt prymitywne w swej prostocie, a zapewne też drogie (w zależności od kwoty), to wyrównanie szans edukacyjnych i życiowych przybrałoby bardziej realny wymiar przy jednoczesnym opodatkowaniu tych, którzy ten start mieli lub mają zapewniony.

Oczywiście konkretny kształt podatku od spadków można sobie wyobrazić rozmaicie, a jego komplikacja – wbrew twierdzeniom Mentzena i jemu podobnych – nie jest zarzutem samym w sobie. Można chociażby zwolnić z podatku osoby nieposiadające mieszkania, które takie lokum otrzymają w spadku, lub też wprowadzić inne zwolnienia przedmiotowe oraz kilka progów podatkowych. Myślenie jednak o podatkach majątkowych w sposób opisany na powyższym przykładzie nie przystaje do realiów współczesnej Polski, a argumentacja, która mu towarzyszy, to często niestety mieszanka liberalnego populizmu i klasizmu charakterystycznego dla części wyższej klasy średniej.

Autor jest radcą prawnym, audytorem i publicystą, ekspertem Centrum Myśli Gospodarczej, sekretarzem redakcji „Polityki Narodowej” i członkiem redakcji portalu Nowy Ład, nlad.pl. 

STREFA

KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO



OJCIEC, KTÓREMU ODEBRALI DZIECIĘ

– Bez wątpienia to emocje ojca. Wielka miłość. W ten projekt zainwestowałem 18 lat życia. Mam przyjemne poczucie, że Muzeum Historii Polski to sukces – mówi **Robert Kostro**.

– Czy pamiętasz ten moment, kiedy pojawiła się w Twojej głowie myśl: „Ech, stworzyłbym jakieś muzeum. Najlepiej Muzeum Historii Polski”.

– Pamiętam. Był rok 2000. Zostałem szefem gabinetu politycznego ministra kultury Kazimierza Ujazdowskiego. W powietrzu unosiło się przekonanie, że brakuje muzealnych przedstawień naszej historii. Napisałem więc do mojego szefa notatkę, że dobrze byłoby stworzyć takie muzeum. Wtedy gdy odwiedzał Polskę jakiś ważny gość, po prostu nie było dokąd go zabrać, żeby dowiedział się czegośkolwiek o Solidarności, Armii Krajowej czy Powstaniu Warszawskim.

Fot. M. Żegliński

Ale ponieważ do wyborów był tylko rok i brakowało czasu na wielkie przedsięwzięcia, zdecydowaliśmy się jedynie na powołanie instytutu, który miał prowadzić działania koncepcyjne. Czyli wymyślić, wyobrazić sobie takie muzeum. Na czele Instytutu Dziedzictwa Narodowego stanął Tomasz Merta. I to był w jakimś sensie początek Muzeum Historii Polski.

– Ale wybory wygrał Sojusz Lewicy Demokratycznej i...

– ...zlikwidował instytut. Ale idea już krążyła. I to krążenie nabrało tempa w 2004 roku.

– Wtedy nie było żadnych wyborów.

– Zbliżał się rok do wyborów. Z Kazimierzem Ujazdowskim zorganizowaliśmy konferencję. Przedstawiliśmy na niej wizję placówki, którą wówczas nazwaliśmy Muzeum Wolności. PiS miało wówczas na sztandarach hasło polityki historycznej i koncepcja takiej instytucji doskonale się w to wpisywała.

Po wyborach Ujazdowski został ponownie ministrem kultury i proponował mi tworzenie muzeum. Wtedy też – w 2006 roku – ostatecznie wyklarowała się nazwa. Uznaliśmy, że Muzeum Historii Polski brzmi prościej, jednoznacznie i dokładnie oddaje nasz zamysł.

– Wreszcie idea zaczęła się wykuwać, bo polityczny moment jej sprzyjał. Co dalej? Jak się robi muzeum?

– W maju 2006 muzeum zostało powołane formalnie. Koncepcję programową już mieliśmy. Było dla nas oczywiste, że chcemy opowiedzieć o historii wolności, polskiej tożsamości i przemianach cywilizacyjnych na ziemiach polskich. Teraz trzeba było przede wszystkim znaleźć miejsce dla muzeum. Zaczęliśmy rozmawiać z władzami Warszawy. Staraliśmy się rozglądać po mieście.

Ówczesny naczelnny architekt Warszawy Michał Borowski miał pomysł, żeby umieścić muzeum w Pałacu Saskim, który miał zostać odbudowany. Ta koncepcja rodziła sporo trudności, przede wszystkim dlatego że Pałac Saski to dwie niezależne bryły połączone jedynie kolumnadą, którą znamy jako Pomnik Nieznanego

Żołnierza. Muzeum zwyczajnie nie zmieściłoby się w jednym skrzydle odbudowanego pałacu. Ostatecznie pomysł upadł, gdy na placu Piłsudskiego znaleziono piwnice oryginalnego pałacu, które zostały wpisane do rejestru zabytków.

Mnie to niezbyt zmartwiło. Wkrótce pojawił się spektakularny pomysł, żeby umieścić muzeum nad Trasą Łazienkowską. Po negocjacjach z Hanną Gronkiewicz-Waltz uznaliśmy, że mamy miejsce i nawet rozpisaliśmy konkurs architektoniczny. To już był rok 2009 i rządziła Platforma Obywatelska.

Konkurs był organizowany pod patronatem Międzynarodowej Unii Architektów. W jury zasiadali wybitni, światowej sławy architekci. Otrzymaliśmy ponad 200 zgłoszeń. Wygrał projekt pracowni Paczowski et Fritsch z Luksemburga.

– Przeszklony gmach zawieszony nad Trasą Łazienkowską. Bez wątpienia mógł być jednym z symboli stolicy. I dlaczego nie ma muzeum nad trasą?

**Pojawił się
spektakularny
pomysł, żeby
umieścić muzeum
nad Trasą
Łazienkowską.
Po negocjacjach
z Hanną
Gronkiewicz-Waltz
uznaliśmy, że mamy
miejsce i nawet
rozpisaliśmy konkurs
architektoniczny.**

– Mam wątpliwości, czy ta lokalizacja była poważnie traktowana przez ówczesną władzę. Chyba chodziło o to, żeby sprawiać wrażenie działania, w istocie nic nie robiąc. Minister Bogdan Zdrojewski nie zapewnił finansowania projektu. W latach 2010–2014 sprawa była całkowicie zamrożona. Byłem już bliski decyzji, żeby odpuścić i podać się do dymisji. Ale Zdrojewski trafił do Parlamentu Europejskiego i na stanowisku ministra kultury zastąpiła go Małgorzata Omilanowska, która wyciągnęła nas z zamrażarki. Najpierw jednak ogłosiła, że muzeum nad trasą nie powstanie. W tej sytuacji kiedyś zaatakowałem ją i powiedziałem, że to ona powinna znaleźć nową lokalizację, a minister – o dziwo – się z tym

zgodziła, co mnie bardzo ujęło. I kilka tygodni później, na początku 2015 roku, zaproponowała umieszczenie muzeum na terenie Cytadeli. Muzeum Historii Polski miało przejąć główny gmach z zespołu budynków przygotowywanych pierwotnie dla Muzeum Wojska Polskiego.

– Uff, mamy wreszcie lokalizację.

>

– Wiedziałem, że trzeba brać to, co dają, bo kolejnej okazji mogło po prostu nie być. Albo mogłem jej nie dożyć. W 2015 roku znowu zmieniała się władza i na szczęście wicepremier i minister kultury Piotr Gliński osobiście się w projekt zaangażował. Bez niego nie dalibyśmy rady.

– **Ostatnie wydarzenia nauczyły nas, że gmach muzeum może budzić niesamowite kontrowersje.**

– Otrzymaliśmy gotowy projekt architektoniczny, odziedziczony po Muzeum Wojska Polskiego, oraz polityczny nakaz, by w tej koncepcji zmieniać jak najmniej. A ja wiedziałem, że to wszystko trzeba gruntownie przeprojektować. Choćby dlatego, że wystawę stałą widzieliśmy w otwartej przestrzeni, a tutaj mieliśmy podział na kilka odrębnych galerii. Drugą kwestią była fasada. Ta na szczęście nie podobala się też ministrowi Glińskiemu. Elewacje z kortenu wyglądały jak zardzewiała blacha, co miało ewidentne konotacje militarne. My tych skojarzeń nie chcieliśmy. Na szczęście szybko nawiązaliśmy nić porozumienia z zespołem architektów i w efekcie mamy teraz bardzo szlachetną fasadę kamienną z ciekawymi „cytatami” z polskiej historycznej architektury. Wnętrza też uległy mocnemu przeobrażeniu. Natomiast kształt bryły pozostał niezmienny.

Co ciekawe, kiedy organizowaliśmy konkurs w 2009 roku, planowaliśmy, że Muzeum będzie miało powierzchnię około 20 tysięcy metrów kwadratowych. W 2015 roku „otrzymaliśmy” natomiast budynek ponaddwukrotnie większy.

– **No i tę wielką przestrzeń trzeba było wypełnić eksponatami.**

– W 2015 roku, kiedy zaczęło wyglądać, że rzeczywiście coś z tego wyjdzie, oblał mnie zimny pot. No właśnie – skąd ja właściwie wezmę te eksponaty? Od początku coś tam zbieraliśmy, ale to były drobne, niezbyt wartościowe rzeczy. Zacząłem objeżdżać różne muzea.

– **I okiem rabusia wybierałeś co smakowitsze kąski.**

– Troszkę tak. Ale muzea w Polsce są niezależne. Nie mogłem więc po prostu pokazać: chcę to i to, proszę mi to zapakować. Wiedziałem, że mogę namówić, ale

nie mogę nikomu niczego zabrać. Reakcje były różne. Niektóre muzea chętnie się dzieliły i zapowiedziały przekazanie wielu depozytów. Ale były i takie...

– **...gdzie wskazywano Ci drzwi.**

– Może nie aż tak brutalnie, ale wykazywały się dużą asertywnością. Były też takie, w których miło się rozmawiało, ale nic z tego nie wynikało. Albo zapadała krępująca cisza. Zdarzały się jednak sytuacje, kiedy placówka muzealna wskazywała nam artefakt, którego sama nie była w stanie zdobyć. Na przykład Muzeum Pierwszych Piastów dało nam „cynk”, że w Jeziorze Lednickim jest dłubanka, którą można wydobyć. Oni mieli już trzy takie łodzie z czasów średniowiecza. Kolejnej nie potrzebowali. Nie mieli też środków, by dłubankę wydobyć. My je mieliśmy, więc dogadaliśmy się z archeologami z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i wydobyliśmy obiekt z X wieku. Będzie pięknym eksponatem na ekspozycji stałej.

Z kolei z Muzeum Poczty we Wrocławiu wzięliśmy w długoterminowy depozyt urządzenia nadawcze stacji Warszawa 2, które były wykorzystywane choćby do emitowania wystąpień Stefana Starzyńskiego we wrześniu 1939 roku. Otrzymaliśmy artefakty, które nie do końca pasowały do profilu zbiorów muzeum, a ponadto zagrażały niewielką powierzchnią wystawienniczą wrocławskiej placówki.

– **Koncepcja była taka, że Muzeum Historii Polski zostanie zbudowane ze zbiorów innych muzeów?**

– Były też inne ścieżki. Współpraca z archeologami. Zakupy. Zbieranie obiektów od osób prywatnych. No i jeszcze jedna ścieżka – pozyskiwanie obiektów zaginionych lub zrabowanych, odzyskanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

– **Pracownicy Muzeum śledzili na Allegro co ciekawsze aukcje?**

– To sporadycznie. Raczej pojawiali się na aukcjach organizowanych przez domy aukcyjne w Polsce i na świecie. Odwiedzali też antykwariuszy. Organizowaliśmy również akcje zbierania pamiątek.

**W 2015 roku znowu
zmieniała się władza
i na szczęście
wicepremier
i minister
kultury Piotr
Gliński osobiście
się w projekt
zaangażował.
Bez niego nie
dalibyśmy rady.**

– Były takie eksponaty, o które stoczyłeś szczególnie zażartą walkę?

– Chyba najbardziej kłopotliwą sytuacją była ta z młodeńczą zbroją Zygmunta Augusta, którą przekazały Polsce Węgry. Ministerstwo Kultury zapytało mnie, czy jestem zainteresowany przyjęciem zbroi do naszych zbiorów. Oczywiście byłem zainteresowany. Ale równocześnie o zbroję zabiegał Zamek Królewski na Wawelu. I w pewnym momencie dostałem zapytanie z ministerstwa, czy skoro siedziby naszego muzeum jeszcze właściwie nie ma, to czy zgodziłbym się, żeby Wawel zapisał zbroję w swoim inwentarzu i zaczął ją eksponować. Zgodziłem się, ale kiedy się o nią upomniałem, Wawel powiedział: „O, nie, nie. To jest nasz!”.

– Zrobili Cię w konia.

– No niestety. Po negocjacjach z udziałem ministerstwa zgodziliśmy się, że ostatecznie zbroja będzie ekspozowana na zmianę w Krakowie i Warszawie. I zostanie wykonana kopia, która będzie zastępować oryginał pod jego nieobecność. Salomonowy wyrok, korzystny, choć zawsze lepiej byłoby mieć zbroję na własność.

– Co udało się pozyskać z zagranicy?

– Warto wspomnieć o kolekcji obrazów namalowanych przez malarzy bractwa świętego Łukasza dla pawilonu polskiego podczas wystawy światowej w Nowym Jorku w 1939 roku. Ten zbiór trafił do biblioteki uczelni jezuickiej Le Moyne College w stanie Nowy Jork. Przez wiele lat trwały zabiegi o odzyskanie tych dzieł. Stan prawny był dla nas niekorzystny, ale ostatecznie udało się odkupić kolekcję za niewygórowaną kwotę około 100 tysięcy dolarów.

– Jak duży był budżet na pozyskiwanie eksponatów z rynku?

– Około miliona złotych rocznie. Ale jeśli nadarzała się jakaś okazja, zawsze mogliśmy liczyć na wsparcie Ministerstwa Kultury. W ten sposób kupiliśmy od Instytutu Piłsudskiego tzw. polską Enigmę – maszynę wyprodukowaną przez polski wywiad do łamania niemieckich szyfrów.

– Była taka rzecz, której nie udało Ci się zdobyć?

– Wiele. Najbardziej mnie zabolalo, że nie zdobyliśmy obrazu Verneta przedstawiającego śmierć księcia Józefa w Elsterze. Niestety na aukcji ktoś nas przelicytował.

– Jak opiszesz swoje uczucia w stosunku do Muzeum Historii Polski?

– Bez wątpienia to emocje ojca. Wielka miłość. W ten projekt zainwestowałem 18 lat życia.

– Czyli wprowadziłeś go w dorosłość.

– Dziecko chyba się udało. Mam przyjemne poczucie, że Muzeum to sukces.

– Ostatnio pytano Cię głównie o odejście. Ja zapytam Cię o przyjsie. Chciałbyś wrócić do Muzeum? W końcu to miłość Twojego życia.

– Mam mieszane uczucia. Z jednej strony jest w Muzeum wiele spraw, które chciałbym dokończyć i rozwinąć. Choćby w sferze „zagranicznej polityki historycznej”. Z drugiej ciągnie mnie do nowych wyzwań. W najbliższym czasie nie spodziewam się propozycji, ale na przyszłość przyglądam się kilku miejscom – instytucjom kultury oraz stanowiskom związanym z zarządzaniem sferą kultury w Polsce. Mam kwalifikacje, by w tej dziedzinie służyć państwu. **S**



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Robert Kostro

z wykształcenia jest historykiem. Działał jako publicysta i polityk nurtu konserwatywnego. Spełnia się jako urzędnik instytucji kultury. Twórca i dyrektor Muzeum Historii Polski, z którego odwołano go po przejęciu władzy przez obecną koalicję.



Ponad 70 milionów Amerykanów zdecydowało, że następnym prezydentem ich kraju będzie Donald Trump. Wyniki wyborów wskazują na pojawiające się **nowe linie podziałów** politycznych w Stanach Zjednoczonych. Wybór dokonany 5 listopada wyznaczy kurs dla kraju na najbliższe lata, ukształtuje politykę wewnętrzną oraz pozycję USA na arenie międzynarodowej. Dla Europy Zachodniej wybór Trumpa na prezydenta może oznaczać konieczność zredefiniowania kierunku swojej polityki, przede wszystkim w zakresie większych inwestycji we wspólną obronność w ramach NATO.

| Tomasz Winiarski |

Wielki POWRÓT



Fot. Matias J. Ocner / Zuma Press / Forum

Tradycji musiało stać się zadość. Jak co cztery lata, w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada obywatele USA ruszyli do lokali wyborczych z zamiarem wyboru głowy swojego państwa. Kandydat Partii Republikańskiej Donald J. Trump wygrał bardzo wyraźną różnicą głosów, i to właśnie od niego prezes Sądu Najwyższego

USA odbierze przysięgę prezydencką 20 stycznia przyszłego roku.

Trump został również pierwszym od 131 lat prezydentem wybranym na to stanowisko po przegraniu swojej walki o reelekcję, czym na stałe wpisał się na karty historii politycznej Ameryki.

– Teraz nabierze to jeszcze większego znaczenia, ponieważ pomożemy uzdrowić się naszemu krajowi. Mamy kraj, który potrzebuje pomocy – i potrzebuje jej bardzo pilnie. Naprawimy bezpieczeństwo naszych granic, naprawimy wszystko to, co wymaga naprawy w naszym kraju. Dziś wieczorem zapisaliśmy się na kartach historii z konkretnego powodu, a ten powód właśnie się urzeczywistnił – mówił Trump podczas swojej zwycięskiej przemowy.

Sondażowy „szamanizm”

Obserwatorzy amerykańskiej polityki mieli wiele do zarzucenia firmom przeprowadzającym sondaże poparcia w wyborach prezydenckich w 2016 i 2020 roku. Wyniki badań opinii społecznej znowu zawiodły.

Przygotowana przez portal FiveThirtyEight średnia sondaży prezydenckich z 5 listopada wskazywała, że w skali całej Ameryki Kamala Harris prowadzi nad Donaldem Trumpem

różnicą 1,2 punktu procentowego (48 proc. do 46,8 proc.). Według tego samego portalu, w trzech z siedmiu stanach wahających się, czyli w Pensylwanii, Wisconsin oraz Michigan, średnia badań opinii publicznej wskazywała na zwycięstwo kandydatki Partii Demokratycznej. Tego

typu narracja, lansowana szczególnie mocno w sprzyjających Demokratom lewicowo-liberalnych mediach, wyłaniała się także z wielu innych sondaży. W badaniu przeprowadzonym pod koniec października przez renomowaną pracownię Marist, Harris górowała nad Trumpem w Pensylwanii (50 do 48 proc.), Michigan (51 do 48 proc.) oraz Wisconsin (50 do 48 proc.).

Szerokim echem odbił

się również wykonany pod koniec października sondaż ze stanu Iowa autorstwa Selzer and Company. Dawał on demokratce sensacyjne, bo aż trzypunktowe, prowadzenie nad Trumpem.

Jak się później okazało, 45., a niebawem i 47. prezydent USA zdołał wygrać we wszystkich siedmiu „stanach wahadłowych”, przecząc tym samym danym, które spływały od ankieterów z renomowanych ośrodków badawczych. Wbrew wielu prognozykom, chociażby portalu FiveThirtyEight, po przeliczeniu 87 proc. >

**KLUCZOWI
OKAZALI SIĘ
WYBORCY
ZRZESZENI
W ZWIĄZKACH
ZAWODOWYCH
ORAZ OGÓLNIE
ROBOTNICY,
KTÓRYCH
ZA OCEANEM
OD KOLORU ICH
ROBOCZYCH
STROJÓW OKREŚLA
SIĘ MIANEM
„NIEBIESKICH
KOŁNIERZYKÓW”.**

głosów Donald Trump zwyciężył również w głosowaniu powszechnym, i to zauważalną różnicą aż 3,5 punktów procentowych.

Portal FiveThirtyEight w 2016 roku określił Ann Selzer, założycielkę firmy Selzer and Company,

nadal był niedoszacowany. Ekspert przestrześlił zatem po całości, dołączając do szerokiego grona osób, które zupełnie nie wyczuły tendencji panujących w amerykańskim społeczeństwie. Niedoszacowanie Trumpa w 3 wyborach prezydenckich z rządu

czyn zwycięstwa Donalda Trumpa, szukając aspektów, które bezpośrednio zadecydowały, że to republikanin zdobył przewagę nad swoją konkurencją.

Dziennikarze sprzyjającej Partii Demokratycznej stacji CNN podali,

że klucz do wiktorii Trumpa leżał w jego dotarciu do wyborców z mniejszości etnicznych, przede wszystkim czarnych i Latynosów. Kluczowi okazali się również wyborcy zrzeszeni w związkach zawodowych oraz ogólnie robotnicy, których za oceną od koloru ich roboczych strojów określa się

mianem „niebieskich kołnierzyków”. Głosować na Trumpa tłumnie ruszyli również ludzie z prowincji, którzy długo nie brali udziału w wyborach. Nie bez znaczenia był również fakt,

że kandydaci Republikanów udało się zwiększyć swoje poparcie wśród osób młodych. Tu z pewnością pomogły wywiady u znanych twórców internetowych oraz influencerów, przede wszystkim ponad 3-godzinna rozmowa w programie Joe Rogana.

– Najważniejszą rzeczą,

która powinna mieć wpływ na dalsze działania partii, jest to, że Trump zbudował szeroką i zróżnicowaną koalicję poparcia. I teraz pokazują to wyniki sondaży exit poll – określił w powyborczy poranek starszy

KANDYDATOWI REPUBLIKANÓW UDAŁO SIĘ ZWIĘKSZYĆ SVOJE POPARCIE WŚRÓD OSÓB MŁODYCH. TU Z PEWNOŚCIĄ POMOGŁY WYWIADY U ZNANYCH TWÓRCÓW INTERNETOWYCH ORAZ INFLUENCERÓW.

mianem „najlepszej ankietki w polityce”. Jej badanie poparcia Kamali Harris i Donalda Trumpa w Iowie wykazało aż 16-punktowy błąd (sic!). Donald Trump wygrał w tym stanie bezpieczną różnicą 13,2 punktów procentowych.

Najbliższe prawdy były wyniki sondażu Atlas Intel ze wszystkich „swing states”, które zgodnie przyznały zwycięstwo w nich jedynie prezydentowi-elektowi.

– Trudno przecenić, jak traumatyczne były wybory w 2016 i 2020 roku dla wielu ankietowanych. Dla niektórych kolejna pomyłka w szacowaniu wyników Trumpa mogłaby stanowić poważne zagrożenie dla ich przyszłości zawodowej. Dla reszty stawką jest pozycja w branży i reputacja. Jeśli po raz trzeci z rzędu nie doszacują Trumpa, jak można będzie zaufać ich sondażom? – pytał Nate Cohn, specjalista analizy badań opinii publicznej.

Cohn zupełnie błędnie sugerował jednak, że tym razem to Demokraci mogą zostać silnie niedoszacowani, gdyż sondażownie, bojąc się kolejnej pomyłki, będą sztucznie zmniejszały rzekomą przewagę Kamali Harris. Żadnej przewagi nie było, a Trump

jest wynikiem splotu kilku czynników. Najważniejszym z nich może być jednak zjawisko tzw. cichej większości. Wyborcy Trumpa boją przyznawać się ankietom do swoich prawicowych sympatii. W sytuacji, w której amerykański prezydent wprost nazywa ich śmieciami, a liberalny salon w USA coraz śmieiej określa Trumpa najgorszymi możliwymi epitetami – począwszy od rasisty o zapędach dyktatorskich czy wręcz faszysty, na porównaniach do Hitlera kończąc – nietrudno zrozumieć ich obawy.

Gospodarka, głupcze

Media za oceanem podejmują pierwsze próby wyjaśnienia przy-

TRUMPOWI UDAŁO SIĘ TRAFNIE ODCZYTAĆ NASTROJE PANUJĄCE W AMERYKAŃSKIM SPOŁECZEŃSTWIE, WŚRÓD KTÓRYCH DOMINOWAŁY ZŁOŚĆ I OBURZENIE.

doradca Trumpa, Brian Hughes.

Portal Associated Press podawał, że Trumpowi udało się trafnie odczytać nastroje panujące w amerykańskim społeczeństwie, wśród których dominowały złość i oburzenie. Mówiąc o drożyznie w sklepach, braku bezpieczeństwa wewnętrznego z powodu napływu nielegalnych imigrantów czy napięciach międzynarodowych, celnie poruszał Trump najbardziej istotne dla elektoratu problemy.

– W 2016 roku ogłosiłem, że jestem waszym głosem. Dziś dodaję: jestem waszym wojownikiem. Jestem waszą sprawiedliwością. A dla tych, którzy zostali skrzywdzeni i zdradzeni, jestem waszym odwetem.

Konserwatywna telewizja informacyjna Fox News przyczyn zwycięstwa Donalda Trumpa upatruje w tym, iż w kluczowych dla tych wyborów kwestiach gospodarki i imigracji ludzie darzyli go większym zaufaniem niż Kamalę Harris.

– Był postrzegany jako silniejszy przywódca niż Harris w czasie niepokojów, a wyborcy wspominali jego prezydenturę przychylniej, niż oceniają obecne rządy. Trump wzmocnił poparcie wśród swojej bazy, jednocześnie zmniejszając tradycyjną przewagę Demokratów wśród wyborców czarnoskórych, latynoskich i młodych – podawali dziennikarze Fox News.

Świat reaguje

Wynik wyborów w Stanach Zjednoczonych spotkał się z różnorodnymi reakcjami społeczności międzynarodowej – od entuzjazmu, przez powściągliwość, aż po subtelnie wyrażony delikatny niepokój.

Jedną z najbardziej serdecznych reakcji wykazał się izraelski premier Benjamin Netanjahu, który zwycięstwo Donalda Trumpa nazwał „największym powrotem w historii”. Netanjahu był także w gronie światowych liderów, którzy jako pierwsi zatelefonowali do Trumpa z gratulacjami.

Ministerstwo spraw zagranicznych Chin skomentowało ponowny wybór republikanina w wyważonym, dyplomatycznym tonie.

– Będziemy nadal postrzegać i prowadzić relacje chińsko-ame-

Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski w oświadczeniu zaprezentowanym mediom podziękował obojgu kandydatom za ciepłe słowa pod adresem Polski wypowiedziane w trakcie kampanii wyborczej. Zapewnił, że jest w kontakcie ze sztabem Donalda Trumpa, a także wskazał, że jego wygrana oznacza zmiany w relacjach euroatlantyckich pod kątem bezpieczeństwa.

Do kontynuacji partnerstwa na linii Bruksela – Waszyngton, które ma służyć ludziom po obu stronach oceanu, zaprosiła Trumpa szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Prezydent Francji Emmanuel Macron, w serii wpisów na portalu społecznościowym X oprócz typowych gratulacji dla republikanina posunął się do dwuznacznych wyrażań na temat kształtu przyszłych stosunków na linii Paryż – Waszyngton. Pisał, że obaj politycy będą współpracować, „posiadając własne przekonania” oraz że Francja będzie działać na rzecz silniejszej Europy ze wsparciem Stanów Zjednoczonych „w nowym kontekście”.

Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych ukazały żywość i płynność życia publicznego za oceanem. Niczym w soczewce pokazały, że Amerykanie w coraz większym stop-

niu podchodzą do polityki, patrząc przez pryzmat własnych portfeli. W coraz większym bowiem stopniu nową oś podziału politycznego w Ameryce wyznaczają nie kwestie rasowe czy tożsamość etniczną, a różnice klasowe i wynikająca z nich odmienna percepcja sytuacji gospodarczej w kraju. **S**



**Jestem waszym wojownikiem.
Jestem waszą sprawiedliwością.
A dla tych, którzy zostali skrzywdzeni i zdradzeni, jestem waszym odwetem.**

DONALD TRUMP

NOWĄ OŚ PODZIAŁU POLITYCZNEGO W AMERYCE WYZNACZAJĄ NIE KWESTIE RASOWE CZY TOŻSAMOŚĆ ETNICZNA, A RÓŻNICE KLASOWE.

rykańskie zgodnie z zasadami wzajemnego szacunku, pokojowego współistnienia oraz współpracy na zasadach obopólnej korzyści. Szanujemy wybór narodu amerykańskiego i gratulujemy panu Trumpowi wyboru na prezydenta – powiedziała Mao Ning, rzeczniczka prasowa MSZ Chin.

Zwycięstwo Trumpa

– chwila prawdy amerykańskiego populizmu

Kacper Kita

Donald Trump nie tylko zwyciężył w wyborach prezydenckich, ale także uzyskał duży społeczny mandat do rządzenia i przeprowadzenia zmian w Stanach Zjednoczonych. O ile z Hillary Clinton w 2016 r. wygrał dzięki Kolegium Elektorskiemu, uzyskując minimalną przewagę w kluczowych stanach, o tyle teraz jego zwycięstwo jest bezapelacyjne. Dopiero drugi raz w ciągu ostatnich 35 lat kandydat Republikanów wygrał w głosowaniu powszechnym. Co więcej, Republikanie z nim na czele uzyskali też komfortową większość w Senacie oraz utrzymali Izbę Reprezentantów. W warunkach amerykańskich to pierwsze ma kluczowe znaczenie – Senat musi zatwierdzić kluczowe nominacje, m.in. wskazywanych przez prezydenta ministrów i sędziów federalnych. Trump będzie miał przez najbliższe dwa lata (wyborów do Kongresu w połowie kadencji) najwygodniejszą pozycję do rządzenia USA od czasu Baracka Obamy w latach 2009–2011.

Tak jak pisałem na łamach „Tygodnika Solidarność” kilka tygodni temu, o wyniku wyborów rozstrzygnęli amerykańscy pracownicy. Trump i jego wywodzący się z ludu wiceprezydent-elekt J.D. Vance stali się pierwszymi Republikanami, odkąd prowadzone są takie badania (od 1976 r.), którzy uzyskali lepszy wynik wśród słabiej zarabiających (mniej niż 50 tysięcy dolarów rocznie) niż u najlepiej zarabiających (powyżej

100 tys.). Klęskę Kamali Harris dobitnie skomentował nestor amerykańskiej lewicy senator Bernie Sanders: „Nikogo nie powinno dziwić, że skoro Partia Demokratyczna porzuciła klasę robotniczą, to klasa robotnicza porzuciła ją. Gdy przywódcy Demokratów bronią status quo, Amerykanie są wściekli i chcą zmian. I mają rację”.

Sanders, który kandydował na prezydenta w latach 2016 i 2020, ale zajmował drugie miejsce w pra-

wyborach Demokratów za reprezentującymi liberalny establishment Hillary Clinton i Joe Bidenem, przypomniał m.in., że „wynagrodzenie przeciętnego amerykańskiego pracownika jest niższe niż 50 lat temu po uwzględnieniu inflacji”, „60% Amerykanów żyje od pierwszego do pierwszego”, a „mimo rozwoju technologii wielu młodych ludzi będzie miało gorszy standard życia niż ich rodzice”.



Fot. Urman Lionel/ABACA / Abaca Press / Forum

Wydaje się, że Demokraci padli ofiarą swojego ideologicznego zacie trzewienia. Harris miała wygrać jako pierwsza czarna kobieta. Niektórzy liberalni mędrzy pewnie chcieliby wytłumaczyć jej porażkę seksizmem i rasizmem ciemnych niewykształconych Amerykanów. W praktyce dostała słabszy od Bidena z 2020 r. wynik... wśród niebiałych i kobiet. 78-letni biały mężczyzna Trump najbardziej poprawił swoje wyniki u Latynosów oraz młodych (18–29 lat).

Podstawowe pytanie brzmi teraz: Co Trump zrobi z tym mandatem? Ma możliwość zostawić po sobie dziedzictwo wpływające na amerykańskie państwo i społeczeństwo. Czy jego wyborcy odczują poprawę swojej sytuacji materialnej? Dziś aż 67%

wyborców uważa, że sytuacja gospodarcza USA jest zła lub bardzo zła. Wszystkie sondaże wskazywały, że na tym obszarze więcej Amerykanów ufa w kompetencje Trumpa niż Harris. Bez wątpienia miało to ogromne przełożenie na wynik wyborów.

Czy nowy-stary prezydent pójdzie za ciosem i zrealizuje marzenie niektórych teoretyków populizmu, np. Patricka Deneena czy Steve'a Bannona, o budowie „patriotycznego sojuszu wielorasowej klasy pracującej”? Do jakiego stopnia zrealizuje obietnice dotyczące protekcyjizmu gospodarczego, ograniczenia imigracji, odzyskania miejsc pracy, które uciekły z USA, podporządkowania polityki energetycznej i klimatycznej interesowi zwykłych Amerykanów?

Co zrobi w sprawie służby zdrowia czy podatków, czyli obszarów, w których Republikanie są podzieleni? Może, jak straszysz część lewicy, będzie realizował interesy sprzyjających mu miliarderów – Elona Muska i Petera Thiela? Jak zachowa się wobec wielkich koncernów technologicznych takich jak Google, Facebook czy Amazon, których kierownictwo będzie chciało się mu przypodobać i zachować swoje przywileje? Już na ostatniej prostej kampanii widać było, że Mark Zuckerberg czy Jeff Bezos liczą się z wygraną Trumpa i będą chcieli się z nim dogadać. Stąd np. „Washington Post” należący do właściciela Amazona demonstracyjnie odmówił poparcia Harris.

Czy w ogóle Trump zbuduje stabilny rząd? A może cztery lata uciekną na konfliktach i walkach

frakcyjnych, osobistych porachunkach z różnymi wrogami, pisanu wyzwick na Twitterze i rywalizacji o schedę potencjalnych następców sędziwego prezydenta? Podstawowym problemem pierwszej administracji Trumpa była właśnie dysfunkcyjność wynikająca z ciągłych zmian na najważniejszych stanowiskach, zatrudniania osób o sprzecznych poglądach, zarządzania przez konflikt oraz nieustannego ścierania się polityków, wojskowych, ludzi wziętych z biznesu, rodziny i kręgu towarzyskiego prezydenta oraz aparatu urzędniczego i „głębokiego państwa”. Sam Trump narzekał później, że zatrudniał zbyt wielu ludzi nielojalnych wobec niego i oczekiwających jego wyborców.

Trump wie, że to jego ostatnia szansa, a droga do powrotu do władzy była wyjątkowo kręta. W końcu był kilka milimetrów od śmierci w zamachu, groziło mu też więzienie. Ponowne wywalczenie Bia-

O WYNIKU WYBORÓW ROZSTRZYGNĘLI AMERYKAŃSCY PRACOWNICY. CZY NIE BĘDĄ ŻAŁOWAĆ?

łego Domu w tych okolicznościach doskonale wpisuje się w opowieść o wojowniczym trybunie ludowym, który nigdy się nie poddał mimo wszystkich kłód rzucanych mu pod nogi przez mroczne globalistyczne elity. Piękne wizje i zręczna retoryka mogą okazać się jednak frazesami kryjącymi zachowanie rzeczywistej dominacji liberalnej oligarchii.

Pewne jest, że będzie ciekawie i kolorowo, a wszystko, co wydarzy się w Ameryce przez kolejne cztery lata, będzie miało duży wpływ polityczny, gospodarczy i kulturowy także na Europę i Polskę. **S**



Nostalgia ante portas

Marcin Darmas

Znający się jako mało kto, ba!, szpe-
rający w utraconych wielkościach,
upajający się upadkami w czasie
Emil Cioran nie mógł się odnaleźć
w „wesołej” i pełnej wigoru Francji lat
pięćdziesiątych. Trwały „les Trentes
Glorieuses”, ekonomiczna i gospodarcza
prosperity lat powojennych, szczęście
z odzyskanej wolności, demograficzny
wzrost „zadekretowany” przez generała
Charles’a de Gaulle’a („naszemu krajowi
potrzeba co roku miliona narodzin” –
miał powiedzieć swojemu premierowi)
i ufność w stabilną przyszłość.

Ciorana raziło szczęście i kolektyw-
ne uniesienia. Wielką Rewolucję widział
jako sztuczny akt pełen dramatyzmu,
bardziej sztukę teatralną aniżeli funda-
mentalne przeobrażenie rzeczywistości.
W liście do „Przyjaciela z daleka”, Con-
tantina Noiki, utyskuje także na geome-
tryczny idiom: „ile papierosów i słow-
ników, żeby napisać w miarę poprawne
zdanie w tym niedostępnym języku,
nadto szlachetnym, nadto na mój gust
dystyngowanym!”. Tęsknił za rumuń-
skim, pachnącym „mieszaniną słońca
i krowiego placka”.

Rumun znajdował upodobanie
w portugalskim fado, okrucieństwie
hiszpańskiej corridy oraz w Węgrach,
dla których – jak twierdził – ulubio-
ną rozrywką jest lament. Słowem,
interesowały Ciorana narody, które
niegdyś były wielkie, a stały się małe,
melancholijne, świadome bezpowrotnie
utraconego dobra. O Francji pisał: „jest
to być może jedyny naród Europy, który
nie wie, co to nostalgia”. Słowa te padły
w 1957 roku. A „Les Trentes Glorieuses”
trwały dokładnie łącznie trzy dekady,
skończyły się symbolicznie podczas
„panowania” socjalistów pod kierun-
kiem François Mitterranda.

Od lat osiemdziesiątych zeszłego wieku sytuacja się odwróciła. Wskaźniki ekonomiczne pozostają nieubłagane. Szerzy się we Francji atmosfera defetyzmu i jednocześnie nostalgii. Według niedawno przeprowadzonego przez pracownię IPSOS sondażu „Global Trends”, zaledwie 21% Francuzów z optymizmem patrzy w przyszłość w sprawach globalnych. W kwestiach własnego kraju obraz jeszcze bardziej się zaczerpnia – jedynie 13% mieszkańców Heksagonu uważa, że Francji będzie się coraz lepiej wiodło w najbliższych latach. Uzupełniono badania o pytanie kontrolne: czy kiedyś krajowi powodziło się lepiej? Respondenci okazali się tutaj jeszcze bardziej jednoznaczni: 64% odpowiedziało, że pragnie powrotu do przeszłości, a dawna Francja była dla nich stabilniejszym i szczęśliwszym miejscem do życia. W ciągu dekady odsetek pragnących powrotu do „starej Francji” sukcesywnie rośnie.

Pytano również o stosunek do globalizacji. W 2022 roku 40% respondentów oceniało ją pozytywnie, obecnie – 34%.

Wyniki „Global Trends” w znacznej mierze pokrywają się z innym corocznym bilansem społecznym – „Francuskie pęknięcia” (IPSOS, Fundacja Jean-Jaurès, Cevipof i Instytut Montaigne’a). Według badania połowa Francuzów uważa się za warstwę „zniechęconą” i „kontestującą” (45%, czyli 9 punktów procentowych więcej niż w zeszłorocznym badaniu). Natomiast na pytanie, czy Francja jest upadającą potęgą, twierdząco odpowiedziało aż... 82% respondentów (7 punktów procentowych więcej niż w poprzedniej edycji badania)!

Szef zespołu ze strony Ipsos, Pierre Latrille, nie wydaje się zaskoczony rapsodycznymi wynikami sondażu: „są bezpośrednio powiązane z kwestiami życia codziennego, takimi jak edukacja, zdrowie, bezpieczeństwo, imigracja”. Na tym polu rzeczywiście Francuzom obiektywnie wiedzie się gorzej. Po epidemii COVID-19 wskaźniki ekonomiczne są coraz gorsze, rośnie inflacja, a deficyt budżetowy bije nad Sekwaną kolejne rekordy. Związa się wielki przemysł. Źle przygotowane do przejścia na napęd elektryczny są wielkie marki samochodowe jak Renault czy Peugeot. Zamyka rodzimą produkcję również inny statek flagowy francuskiego przemysłu motoryzacyjnego, Michelin. Prezes firmy Florent Menegaux zapowiedział zatrzymanie produkcji opon w Cholet i Vannes (na bruk pójdzie blisko 1300 osób). Menegaux zakomunikował również, że „cała Europa znajduje się w poważnych trudnościach. Nie panujemy nad masą pracowniczą. Wszystkie nasze europejskie zakłady borykają się z tymi problemami, a w wielu z nich odnotowano spadek produkcji”.

Nawet francuska chluba – czyli wielka dystrybucja – nie licząc towarów luksusowych oraz przemysłu zbrojeniowego, mierzy się z głębokim kryzysem. Grupa Auchan ogłosiła w zeszłym tygodniu plan masowych zwolnień; na 54 tys. zatrudnionych pracę straci aż 5% – to blisko dwa i pół tysiąca stanowisk. Zapowiedziano również zamknięcie trzech >



sklepów – w Clermont-Ferrand, Bar-le-Duc oraz Woippy – oraz trzech magazynów dostarczających produkty spożywcze do domu.

Ciekawej egzegezy postępującej nostalgii „za dawną Francją” dokonał na stronach „Metamorfozy francuskiej” Jérôme Fourquet, politolog, jeden z szefów pracowni IFOP. Z Fourquetem nie brodzimy w coraz to gęstszej pomroce zagadek, mamy bowiem do czynienia z praktykującym socjologiem ilościowym, operującym na twardych danych w perspektywie porównawczej. Fourquet nie jest doboszem, nie zagrzewa do walki, nie bije na alarm; z dużą pieczołowitością pokazuje stan faktyczny. Według niego wzrost nostalgii związany jest z czterema przeobrażeniami ostatnich czterdziestu lat.

Po pierwsze, dechrystianizacją. Jak zaznacza, we francuskim pejzażu „nie tylko znikają budynki sakralne, znikają głębokie ramy kulturowe”, które przez wieki organizowały życie i stanowiły odniesienie zarówno ontologiczne, jak i obyczajowe oraz aksjologiczne. Statystyki robią wrażenie. Z jednej strony spadek liczby chrztów: 82% ochrzczonych dzieci w 1961 r., 27% w 2018 r.; z drugiej zaś wzrost liczby kremacji – 0,9% w 1980 r., a obecnie 43%. Zmierzch chrześcijaństwa zreorganizował instytucję małżeństwa, niegdyśiejszej ostoji stabilizacji życiowej.

Po drugie, dezindustrializację. Francja coraz mniej produkuje, a jednocześnie coraz więcej konsumuje. Jak podaje Fourquet, w 1980 roku wielki przemysł francuski stanowił 24% PKB kraju, w 2019 – już tylko 10%. W samym roku 2008 zamknięto prawie tysiąc zakładów.

Po trzecie, amerykanizację. Mamy tutaj do czynienia z podwójnym fenomenem. Z jednej strony, z tryumfem politycznych wzorców

storytellingu, modeli konsumpcji, popkultury. Z drugiej, z postępującą „logiką wstydu”, którą celnie opisał Pascal Bruckner w przetłumaczonej na język polski „Tyranii skruchy”. Jego rozważania o „samobiczowaniu Zachodu” inicjuje ostra konstatacja: „Cały świat nas nienawidzi, bo w pełni na to zasługujemy: takie przekonanie żywi większość Europejczyków, przynajmniej na Zachodzie. Od 1945 roku nasz kontynent żyje w torturach skruchy”. Wydaje się, że logika skruchy konkuruje o prymat z logikami emancypacji i indywidualizmu. Raz wprowadzone w ruch niezwykle trudno jest zatrzymać. Pascal Bruckner dostrzega między przedstawionymi porządkami sprzeczność, żeby nie powiedzieć hipokryzję cechującą zachodnie społeczeństwa: z jednej strony „szaleństwo” kolektywnego „przepraszania”, a z drugiej nakaz poszukiwania własnej drogi eks-

SZERZY SIĘ WE FRANCJI ATMOSFERA DEFETYZMU I JEDNOCZEŚNIE NOSTALGII.

presji, zerwania krępujących kajdan przeszłości.

Francja nieustannie głosi i penalizuje „własne winy” związane z kolonializmem, między innymi ustawami Taubiry. Uchwalone w 2001 roku uznają niewolnictwo za zbrodnię przeciwko ludzkości, nakładają na szkoły republikańskie obowiązek nauki o wyzysku w koloniach i rozwój programów akademickich temu poświęconych, stwarzają permanentny komitet ds. zbrodni kolonialnych oraz – co najważniejsze – otwierają możliwość ścigania drogą karną negowania zbrodni związanych z niewolnictwem. Jednocześnie Republika

odcina się od swoich antenatów, którzy w posiadłościach zamorskich i w Afryce rozpoczęli istotny proces cywilizacyjny poprzez programy alfabetyzacji, wprowadzenie republikańskich wzorców edukacyjnych czy prawa cywilnego.

Po czwarte, imigracją. W 1900 r. 0% noworodków we Francji miało imię arabsko-muzułmańskie. W 2021 r. było ich 21,1%. Ta dynamika już głęboko zmieniła kulturalne oblicze Francji. Drugie i trzecie pokolenie muzułmanów, które urodziło się we Francji, przeszło przez francuski system edukacyjny, czerpie korzyści z systemów socjalnych, nie chce się utożsamiać z wartościami Republiki. Odrzucają ją en masse. Przedmieścia dużych metropolii stały się teatrem przemocy, przestrzeniami bez aurytety i prawa – „zapomnianymi archipelagami Republiki”.

W obecnej Francji mamy do czynienia z fenomenem, który został opisany przez amerykańskiego socjologa Christophera Lascha pod koniec lat siedemdziesiątych. Z jednej strony, panują progresywne i w pełni dostosowane do wymogów globalizacji elity.

Lasch nazywa je „burżuazją aspołeczną”, to znaczy w pełni autonomiczną i niezainteresowaną dobrem wspólnym – jest ona wsobna. Jej się udało. Poradziła sobie „sama”. Z drugiej, „bytują” maluczcy, nieprzystosowani do postępu, „uzależnieni” od protektoratu państwa. Francuski filozof Michel Onfray nazywa ich ludem „oldschoolowym”. Lasch przewidział, że reguły życia społecznego będą się upodabniać do porządków liberalnego rynku – jedni będą „wygrywać”, a drudzy „przegrywać”.

Przegrałeś? To twoja wina. Nie trzeba było oglądać się na przeszłość. **S**

Czas na zapłatę za nierozliczone zbrodnie

Fot. Adam Chelstowski / Forum



Z raportu Arkadiusza Mularczyka wynika, że straty ludności Polski to

5,2 mln osób.

Kwotę utraconych wynagrodzeń z tytułu ofiar śmiertelnych oszacowano na ok. 4,3 biliona złotych. Natomiast suma strat materialnych wyniosła 797,4 miliarda złotych.

Świat nie przyryka oczu na nierozliczone zbrodnie, choć tym, którzy je popełnili, nie zawsze jest to na rękę. W globalny trend skutecznych żądań zwrotów zagrabionych dóbr kultury czy wypłaty zadośćuczynienia za popełnione zbrodnie mogła (i chciała – w poprzedniej kadencji rządu) wpisać się Polska, jednak proniemiecka polityka obecnego gabinetu **raczej przychyliła się do niemieckiej narracji**, która po raz kolejny dała się usłyszeć podczas ostatniej wizyty prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera w Atenach. A jaka to narracja? Niemcy też były ofiarami nazistowskich zbrodni. Naprawdę!

A teńczycy nie lubią Niemców – wszystko jedno, czy na wybieżkę do antycznej Hellady przyjeżdżają starzy Niemcy, z pewnością – zwykle jako dzieci – pamiętający czasy II wojny światowej, czy na ulicach stolicy Grecji pojawia się oficjalna wizyta niemieckich władz. Przekonał się o tym Frank-Walter Steinmeier. W ostatnim tygodniu października odwiedził Grecję z oficjalną wizytą, której trzonem miały być rozmowy dotyczące tłumy nielegalnych imigrantów ciągnących do Niemiec przez greckie wyspy.

Paweł Pietkun

Nie zapomnieli rozkradania Aten

Niemieckie media już w dniu wizyty zauważyły, że władze w Atenach wręczyły dokument – niezapłacony rachunek za niemieckie zbrodnie – i przypomniały Steinmeierowi o odszkodowaniach, których od lat domagają się Grecy. Chodzi o 400 mld euro odszkodowania za zbrodnie, do których dochodziło w całym kraju Hellenów w czasie niemieckiej okupacji i podczas obrony

Aten przed Brytyjczykami, kiedy stolica antycznego świata została nie tylko zniszczona, ale również skrupulatnie ograbiona przez przodków dzisiejszych polityków niemieckich – to łącznie cztery lata okupacji, od 1941 do 1944 roku.

Ateńczycy nie zapomnieli ani zbrodni, ani kradzieży, choć to nie w ich kraju padały rekordy rozstrzelania ludności cywilnej – 12 tys. ofiar wydaje się liczbą zdumiewająco małą, jeżeli porównać ją do Holokaustu czy działań Wehrmachtu i SS nad Wisłą.

Do dzisiaj dla greckiego rządu sprawa reparacji pozostaje nierozwiązana. Co więcej, Niemcy nie chcą w tej sprawie nawet usiąść do negocjacyjnego stołu, choć dość łaskawie potraktowali Włochów, w czasie II wojny światowej swoich sojuszników, którym pozwolili na powołanie specjalnego „Funduszu wypłat odszkodowań dla ofiar niemieckich zbrodni popełnionych we Włoszech i na Włochach w czasie II wojny światowej”, którego łączny budżet wynosi 55 mln euro. Kwotę tej samej wysokości przegłosowali później

w Komisji Europejskiej, ustalając wysokość KPO dla Italii i choć nieoficjalnie nie godzą się na wiązanie obu spraw, od czasu przelewu z Brukseli rząd w Rzymie nie domaga się już reparacji wojennych.

W przypadku Grecji narrację mają jednak zupełnie inną. Jaką?



Niemcy też byli ofiarami tej zbrodniczej wojny, a sprawa jest zamknięta na gruncie prawa międzynarodowego.

FRANK-WALTER STEINMEIER

To Niemcy byli ofiarami...

Jeszcze w czasie wizyty niemieckiego prezydenta w Atenach media Alemani zachwycali się nieprzejdanym

„Nie zapłacimy!” – Steinmaiera. Polityk z Berlina wśród okrzyków „sprawiedliwość” i „odszkodowania” wyjaśniał Grekom, że „Niemcy też były ofiarami tej zbrodniczej wojny, a sprawa jest zamknięta na gruncie prawa międzynarodowego”.

krzywdy, ten musi się liczyć z roszczeniami strony przeciwnej. Nie, nie powinno się wzajemnie licytować. Ale zbrodnie na Niemczech pozostają zbrodniami. Wypędzenie i zamordowanie milionów Niemców, naloty lotnicze przeciwko ludności cywilnej, maltretowanie jeńców wojennych i utrata jednej czwartej terytorium państwa – to także trudno oddać w liczbach” – brzmią argumenty strony niemieckiej (niedawno przytaczane przez „Frankfurter Allgemeine Zeitung”).

– Europejska integracja nie oznacza grubej kreski, ale nowy początek, który nie polega na stałym demonstrowaniu wyblakłych rachunków – mówią dzisiaj niemieccy politycy, dodając, że ich kraj wciąż uznaje swoją „historyczną i moralną odpowiedzialność”. Jednak i to stanowisko Niemiec należy – jak czytamy w niemieckich mediach – przemyśleć, gdyż „pozostaje ono bez echa”. Być może z ust Steinmeiera padło ostatnie „przepraszam” powiedziane Grekom.

EUROPEJSKA INTEGRACJA NIE OZNACZA GRUBEJ KRESKI, ALE NOWY POCZĄTEK, KTÓRY NIE POLEGA NA STAŁYM DEMONSTROWANIU WYBLAKŁYCH RACHUNKÓW – MÓWIĄ DZISIAJ NIEMIECCY POLITYCY.

Niemieckie media wyjaśniały nieustępliwość Steinmaiera retoryką opracowaną w sprawie reparacji jeszcze przez gabinet Angeli Merkel. „Ten, kto dziś jeszcze myśli o finansowych żądaniach za historyczne

Walka Greków o reparacje wojenne jeszcze do niedawna miała dla Polski ogromne znaczenie. Obok Italii i Polski to kolejny kraj, który domagał się wypłaty reparacji wojennych, i kolejny, który

przyznawał, że zniszczenia, których Niemcy dopuścili się na Polsce i Polakach, nie mogą pozostać bez zadośćuczynienia.

Polska w 2022 roku przygotowała raport dotyczący zniszczeń wojennych dokonanych przez Niemcy – do niedawna był jednym z najważniejszych polskich dokumentów w polityce międzynarodowej. Raport przygotowany przez byłego wiceszefa polskiej dyplomacji, a dzisiaj europarlamentarzystę dokładnie i zgodnie z prawidłami księgowości wyliczył, jaka powinna być faktyczna kwota reparacji wojennych za straty wyrządzone Polsce przez Niemcy – to 1,3 bln euro. Z raportu Arkadiusza Mularczyka wynika, że straty ludności Polski to 5,2 mln osób. Kwotę utraconych wynagrodzeń z tytułu ofiar śmiertelnych oszacowano na ok. 4,3 biliona złotych. Natomiast suma strat materialnych wyniosła 797,4 miliarda złotych. Zsumowanie wszystkich częściowych wartości daje ogólną kwotę strat Polski w wysokości 6 bln 220 mld 609 mln złotych. To dwukrotność ówczesnego PKB Polski.

Czas sprawiedliwości

Berlin uważa jednak, że Polska część reparacji dostała (pieniądze trafiły do Moskwy), a części zrzekła się w czasach zimnej wojny, i do tematu wracać nie zamierza.

Nie zamierza tego zrobić także premier Donald Tusk, który Niemcom... przyznaje rację. – Reparacje z punktu widzenia Niemiec są zamknięte. Mają argumenty na rzecz tej tezy, więc będziemy szukać rozwiązań, które usatysfakcjonują Polskę, lecz nie w duchu konfrontacji politycznej, ale wzajemnego zrozumienia – wyjaśniał podczas lipcowego spotkania z kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem. Polski raport o zniszczeniach wojennych od tamtej pory przestał być dokumentem, którym posługiwał się polski rząd w sprawach ewentualnych reparacji.

Uległość polskiego rządu wobec Niemiec zaskakuje, szczególnie dzisiaj, kiedy coraz częściej Europa wypłaca niemałe odszkodowania mieszkańcom swoich byłych kolonii. Za popieranie kolonializmu Belgowie dwa lata temu usunęli w Antwerpii jedyny pomnik największego belgijskiego monarchy, króla Leopolda II. Rząd Konga domagał się tego w związku ze śmiercią 10 milionów swoich obywateli

rych doświadczali rdzenni mieszkańcy tego afrykańskiego kraju.

Dokument będzie podstawą pozwu przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Rekompensaty od Londynu są niemal pewne, być może nawet przed pierwszą rozprawą – Albion zapłacił już 20 mln funtów odszkodowania dla ofiar i rodzin ofiar tortur, których dopuściła się pod koniec lat 50. XX wieku w czasie powstania Mau Mau w Kenii.

ULEGŁOŚĆ POLSKIEGO RZĄDU WOBEC NIEMIEC ZASKAKUJE, SZCZEGÓLNIE DZISIAJ, KIEDY CORAZ CZĘŚCIEJ EUROPA WYPŁACA NIEMAŁE ODSZKODOWANIA MIESZKAŃCOM SWOICH BYŁYCH KOLONII.

w latach 1889–1908, kiedy Leopold II godził się na grabieżczą politykę belgijskich kolonialistów.

Dzisiaj za czasy niewoli rozliczenia od Wielkiej Brytanii domaga się również Zimbabwe, które zapowiada przygotowanie raportu na ten temat na wzór dokumentu, który powstał w Polsce.

– Nie możemy milczeć, gdy nasz naród nosi blizny bolesnej i okrutnej przeszłości. Nadszedł czas, abyśmy zaangażowali się w kwestię kolonialnej władzy, obiektywnie i przenikliwie, dążąc do bardzo opóźnionego, ale ważnego gestu w postaci reparacji, restauracji i bardzo potrzebnych przeprosin i pojednania – oświadczył prezydent Zimbabwe Emmerson Mnangagwa, ogłaszając rozpoczęcie procesu badania niesprawiedliwości, któ-

Władze w Nairobi obecnie liczą wartość skradzionych przez Brytyjczyków dóbr kultury – jeżeli Londyn nie odda tego, co zabrał, będzie musiał płacić kolejne odszkodowanie. Bruksela zapowiada, że poprze żądania Kenijczyków.

Dwa lata temu Berlin przeprosił Namibijczyków za eksterminację ludów Herero i Nama – odszkodowania nie wypłacił, ale w międzynarodowym dokumencie zobowiązał się do wielomilionowych inwestycji w tym kraju, które mają poprawić gospodarkę Namibii, zaś mieszkańcom zagwarantować przynajmniej kilka tysięcy miejsc pracy.

Polska, składając pozew przeciwko Niemcom, mogłaby liczyć nie tylko na korzystne uwarunkowania polityczne, ale także na europejskich sojuszników. **S**

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **12 LISTOPADA** zdarzyło się:

1922 – pierwsze w historii wybory do Senatu RP (wybory do Sejmu przeprowadzono 5 listopada);

2004 – w Ramallah na Zachodnim Brzegu Jordanu odbył się pogrzeb Jasera Arafata.

Byłem sam, ZUPEŁNIE SAMOTNY...

– Zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie, że piersi dziecinne i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wyśpiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia
– mówi **Marszałek Józef Piłsudski** w „rozmowie” z **Sebastianem Reńcą**.

– Panie Marszałku, 106 lat temu odzyskałobyśmy niepodległość. Jak Pan to, u licha, zrobił?

– Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie wywoływali.

Dobrze teraz, od czasu do czasu, nagle zadeklamować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914 roku wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkimi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinii ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to na pewno nie byłoby wojny. Polska więc, stwierdzam to raz jeszcze, wojny nie chciała i wojny nie wywoływała.

– Dziś jednak wszyscy mówią to samo, co Pan Marszałek.

– Polska miała być jedynie teatrem wojny. Z tego zaś faktu wynikły różne następstwa, do których, między innymi, należy i początek Legionów. Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapalili nagle wielką sympatią do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Niewiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą.

– Wspomniał Pan o początku Legionów.

– Wówczas powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legionowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla

mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa biorące udział w wojnie jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy. Wszyscy Polacy, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legionieści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu – tak jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

– Wówczas i dziś są tacy, którzy podważają ów czyn legionowy.

– Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętne dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tym sądził wtedy czy sądzi teraz, jakie kto o mnie czy o moich kolegach wydał wtedy lub wydaje teraz opinie. Jest obojętne, czy ktoś za jakimś żulikiem powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu, czy uważa nas wraz z innymi za płatnych agentów Wilhelma czy Franciszka Józefa, czy przypisywał nam wówczas lub przypisuje teraz szaleństwo i bezrozum, czy na moją siwiejącą głowę rzucał czy rzucać będzie przekleństwa za gubienie szlachetnej młodzieży, czy wreszcie w owe czasy sentymentalne ronił łzy nad ofiarami szlachetnych i zielonych głów młodych – jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legionieści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, >



Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

inaczej niż wszyscy Polacy. Niepodobna było sfałszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legionów.

– Nieraz słyszy się o Was, legionistach, taką oto opinię: „niepoprawni romantycy”.

– Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszym, najbardziej używanym określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskim. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmieszne. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata; okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę ochrzczone jego wielkim imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 1863 roku, słowo „romantyczny” nabrało jakiegoś dziwnego charakteru, zaczęło oznaczać po prostu „głupi”. Jakiż to zabawny sposób krytyki świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia!

– Czy mógłby Pan Marszałek w kilku słowach scharakteryzować swoich kolegów z Legionów?

– Legioniści byli w tych czasach wyrazicielami buntu, i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która – rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw – nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legioniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia – wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się – na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności, jako żołnierzy polskich. Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tym mówię! Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legionista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tym, że jest Polakiem i pod polskimi godłami i znakami chce służyć!

– Przyszła pamiętna jesień roku 1918. Z końcem października powstał tak zwany rząd Józefa Świeżyńskiego, który mianował Pana ministrem.

– Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, gdyż nic o tym nie wiedziałem i dowiedziałem się o tym, siedząc w Magdeburgu, z dziennika „Woche” wręzonego mi po kryjomu przez

podoficera mającego rozkaz mnie pilnować. Przeczytanie tej wiadomości, że już jestem ministrem polskim, wywołało śmiech ogromny zarówno u mnie, jak i u generała Kazimierza Sosnkowskiego. Nie wiedziałem również o tym, że Świeżyński żądał mego zwolnienia.

– Co nastąpiło i przyjechał Pan do Warszawy.

– Powróciłem z Magdeburga 10 listopada 1918 roku.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy – o niczym nie mając żadnych informacji – wyjechałem pociągiem specjalnym, złożonym z jednego wagonu i lokomotywy, z Berlina do Warszawy. Byłem przerażony tym, co zastałem, i chciałem – wyznam – najbardziej tchórzliwie uciec z Warszawy. Zastałem tam bowiem to, co w myślach nazwałem od dawna konkubinatem z zaborcą; konkubinatem, w którym zaborca jest zawsze silniejszy od

Polski. Dlatego, zastawszy stan chaosu, półrewolucji, pół – nie wiem czego, chciałem nazajutrz wyjechać z Warszawy. Wykazałem więc tę samą niechęć do rządzenia, tę samą niechęć do wyraźnego postawienia sprawy, jaką mieli wszyscy inni robiący w owym czasie próby rządzenia. Byłem w tym pierwszym okresie prześcignięty przez „rząd lubelski”, o którym, gdy przyjechałem, nie miałem zielonego pojęcia.

– Był Pan pełen obaw?

– Przybyłem z miejsca, gdzie przez rok cały nie miałem w ręce ani jednego polskiego drukowanego słowa, gdzie przez rok cały nie widziałem ani jednego Polaka, gdzie przez rok cały nie współżyłem w ogóle z Polską. Czułem na sobie ten ciężar izolacji, odcięcia od całego życia, czułem tę nieznajomość ludzi, zmieniających się w tej godzinie dziejowej szybciej niż poprzednio, czułem jakieś właśnie, o których nic nie wiedziałem, czułem jakieś spory, z którymi nigdy nie miałem do czynienia. Byłem sam, zupełnie samotny.

– Według Pana Marszałka, kiedy Rzeczpospolita ponownie zaistniała? Czy chodzi o konkretny dokument?

– Jest to mój dekret ustalający naczelne władze państwa i dekret nakazujący wybory sejmowe. Pochodzą one z końca listopada. Zarządzenie zawarte w dekreście podpisanym przeze mnie dnia 22 listopada 1918 roku, a kontrasygnowanym odręcznie przez ówczesnego prezydenta ministrów Jędrzeja Moraczewskiego, ustaliło fakt istnienia Naczelnika Państwa, fakt istnienia rządu z musiem odpowiedzialności czyjejs przed czymś, wreszcie nazwę:

LEGIONIŚCI BYLI
WYRAZICIELAMI BUNTU,
I TO WYRAZICIELAMI
JAWNymi, WALCZĄCYMI
PUBLICZNIE
O SZACUNEK DLA TEGO,
CO POLSKIE
NOSI IMIĘ.

Rzeczpospolita Polska. Wszystkie tym dekretem ustanowione instytucje istniały przez dłuższy czas. Istniał Naczelnik Państwa, istniał prezydent ministrów, kontrasygnujący jego zarządzenia, pomimo że Naczelnik Państwa z tego stanu nie bardzo się cieszył, i tak dalej. Drugi fakt to wydanie dekretu o ordynacji wyborczej i o wyborach do Sejmu, dekretu podpisanego 28 listopada. Istotnie na skutek tego aktu historycznie Sejm został na podstawie zarządzonej wówczas ordynacji wybrany, zebrał się i trwał te nieszczęsne cztery lata mojego naczelnikowania. Okres pomiędzy 22 listopada a 28 listopada 1918 roku jest więc okresem ostatecznego sformowania się naszego państwa.

– 28 listopada wydaje się datą nieprzypadkową.

– 28 listopada jest bardzo bliski 29 listopada, tym bardziej że dekret ten był podpisany w nocy. Łączy się to ściśle z datą 29 listopada, z dniem rocznicy Powstania Listopadowego. Wtedy ustanawiałem również miejsce rezydencji Naczelnika Państwa. 29 listopada przeniosłem się do Belwederu i dotychczas ten gmach jest rezydencją państwa.

– W roku 1920 odrzuciliśmy bolszewików, ocaliliśmy Polskę. Wielka w tym zasługa Pana Marszałka. Chciałem zapytać, jakby Pan scharakteryzował niewolę, w którą wpadłaby nasza ojczyzna, gdyby bolszewicy zajęli nasz kraj?

– Niewola moskiewska tym się różni od wszelkiej innej, że oprócz krzywdy i ucisku naród ujarzmiony znosić musi stale upokorzenia. Rząd carski za przykładem wszystkich despotów Wschodu lubuje się w zewnętrznych przejawach uległości i pokory, w obrażaniu godności ludzkiej niewolnika. Nie dosyć mu uderzyć nahajką, chce on jeszcze, by uderzony pocałował narzędzie tortury; mało mu powalić przeciwnika, trzeba jeszcze wymierzyć zwyciężonemu policzek.

– Kiedyś Pan Marszałek napisał, że „w walce i krwi rodziła się demokracja, w krwi i burzy”.

– I gdy my, zmęczeni siedmioletnią wojną, mówimy, żeśmy przeszli tak dużo, to pomyślcie o tym wstrząśnieniu i o tym kryzysie, który nasi ojcowie przeżyli. Gdy w roku 1789 dziecko się rodziło, to gdy kryzys mijał, dziecko, dorosłym będąc, umierało za cesarza. Pokolenie całe nie знаło innego życia, jak ciągła burza, niezliczone wojny toczyło, by to, co się nazywa demokracją, na świat powstało.

– Dziś mamy Polskę niepodległą...

– Ja w tej Polsce osiwałem, a niegdyś rówieśnicy i koledzy zazdrościli mi płowej czupryny, niemającej siwego włosa.

– Gdyby Pan Marszałek miał wymienić jeden moment, który na zawsze zagościł w Pana pamięci ze względu na swoją wyjątkowość, to co by to było?

– Z przeżyć moich sięgam do dni największego mojego triumfu, gdy hejnał zwycięstwa bił mi w piersi, gdy dzień wielki swój święciłem, gdym do Wilna swego, jako zwycięzca, wkraczał, gdym konno po ulicach Wilna jechał, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił i gdy wtedy w takt podków śnił mi się – dźwięk łańcucha. I gdzieś pod powieka u zwycięzcy łza tęsknoty się zbierała za snami pięknymi niewoli, które Mickiewicza nam dały, za cierpieniami i bólami, za zapachem kwiatów, które kajdany ubierają. Podczas naszej długiej stuletniej przeszłości, gdyśmy wolności nie mieli, wytworzyliśmy, biegnąc tęsknotami z pokolenia na pokolenie, swoje życie niewoli i swoje życie kajdan. Ileż cudów piękna dało to życie, ileż tęsknot, bólów i cierpień, ileż szczytów pozwoliło osiągnąć! Idą teraz godziny za godzinami, zwycięstwo za nami, przed nami szerokie życie. Burz dla nerwów nie ma, piękno jakby stygnie i człowiek czeka na nowego człowieka, aby piękno odrodzenia gdzieś wyszło, piękno chwili wiosny – wiosny nowego polskiego życia.

– Piękne powiedziane...

– Gdy myślę o tym, zbliżając się co krok do grobu, to zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie, że piersi dziecinne i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wyśpiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia, gdy my, niestety, spotkaliśmy Polskę z kwasem śledzienników i burzeniem ludzi o chorych żołądkach.

– Wspomniął Pan Marszałek Wilno, to wyjątkowe miasto, nieprawdaż?

– Gdy w latach 1918–1919 Wilno znalazło się w rękach bolszewików, dzieliło mnie od niego 300 kilometrów oraz siły niemieckie i bolszewickie. Miasto mego dzieciństwa, kocham je i tęskniłem doń latami całymi, los Wilna to był we mnie ten węzeł psychiczny i mus, który ciągnął koniecznością. Na wielkim ekranie duszy dalekie Wilno malowało się różową plamą, na północ od wielkiej czerwonej plamy – walczącego Lwowa, gdzie mus nakazywał posłać posiłki. Było duszy, jako owej kobiecie w „Weselu” Wyspiańskiego: „Mus mnie woła, raz dokoła, raz dokoła!”. Ją wołał mus lat młodych, miłości i wspomnień, i Wilno dla mnie było dziedzictwem długich lat tęsknot i przywiązania.

„Rozmowa” z Marszałkiem Józefem Piłsudskim powstała na podstawie fragmentów wybranych z kilkutomowej pracy „Józef Piłsudski. Pisma – mowy – rozkazy”, Instytut Badania Najnowszej Historii Polski, Warszawa 1930. W żadnym wypadku nie jest ona efektem pracy sztucznej inteligencji. 

POKOLENIE
CAŁE NIE ZNAŁO
INNEGO ŻYCIA, JAK
CIĄGŁA BURZA,
NIEZLICZONE WOJNY
TOCZYŁO, BY TO,
CO SIĘ NAZYWA
DEMOKRACJĄ,
NA ŚWIATŁO
WSTAŁO.

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA



Marek Jan Chodakiewicz

Wyznawcy Allaha: Definicje (cz. 2)

W kontekście islamu nie piszę o Bogu, a o Allahu. Bez wątplenia islam wywodzi się z religii Abrahama. Jednak maho-metańskie zrozumienie Boga nie jest ani hebrajskie, ani chrześcijańskie.

Po pierwsze, muzułmanie odrzucają, że Allah kieruje się rozumem, a więc dlatego jest dobry. Allah jest większy (Allahu akbar!) i w związku z tym jest ponad dobrem i złem (w cywilizacji zachodniej do takich wniosków doszli dopiero David Hume i Friedrich Nietzsche w XVIII i XIX w.). Relatywnie Allah może stwierdzić, że dobro to zło i vice versa. Rozum zupełnie do niego nie pasuje, bo jest to kategoria ludzka. Człowiek nie może więc w żaden sposób Allaha przewidzieć. Allah w tym sensie nie jest więc Panem Bogiem chrześcijan czy Jahwe żydów.

Po drugie, Allah stworzył człowieka. Ale człowiek nie został stworzony na podobieństwo Allaha. Twierdzenie, że człowiek w jakikolwiek sposób odzwierciedla Allaha, jest herezją i świętokradztwem. Allah jest bytem ponadludzkim i z ludźmi nic nie ma wspólnego w sensie charakteru, psychiki bądź rozumu. On wszystko ludziom dał, ale nie stworzył ich jak siebie. Nie można Allaha uważać więc za Pana Boga w naszym, chrześcijańskim, rozumieniu tej koncepcji.

Po trzecie, doktryna islamska głosi, że Allah jest jeden. Unitaryzm Allaha wyklucza odnoszenie go

w jakimkolwiek sposób do chrześcijańskiego, a przynajmniej katolickiego i prawosławnego, Boga w Trójcy Jedynego. Nie istnieje Duch Święty. Nie istnieje Pan Jezus jako Syn Boży. W islamie Jezus jest jedynie jednym z proroków. Tak, był niepokalanie poczętym cudotwórcą. Jednak nigdy za nikogo nie poświęcił swego życia, a jego funkcją było po prostu powtórzenie obietnic Allahowych, których chrześcijanie nie rozumieli i tak jak

poddali się Allahowi. Nie Jahwe, ani nie Panu Bogu, tylko właśnie Allahowi. Stali się po prostu muzułmanami. I tylko w takim kontekście są akceptowalni w islamie. (Zob. Tarif Khalidi, „The Muslim Jesus: Sayings and Stories in Islamic Literature” [Muzułmański Jezus: Przypowiednie i historie w literaturze islamskiej], Cambridge, MA: Harvard University Press, 2001; Mustafa Akyol, „The Islamic Jesus: How the King of

**ROZUM ZUPEŁNIE NIE
PASUJE DO ALLAHA, BO JEST
TO KATEGORIA LUDZKA.
CZŁOWIEK NIE MOŻE WIĘC
W ŻADEN SPOSÓB ALLAHA
PRZEWIDZIEĆ.**

żydzi – je skorumpowali. Aż przyszedł Mahomet i wszystko naprawił.

Po czwarte, dla muzułmanów istnieje kontynuacja między Jahwe i Panem Bogiem, która wyraża się koncepcją Allaha, tylko jeśli są spełnione następujące warunki: wszyscy muszą się podporządkować nie Jahwe, ani nie Panu Bogu, tylko Allahowi. To znaczy, muzułmanie uważają, że Abraham, Mojżesz i Jezus przyjęli islam. Islam oznacza poddanie się, czyli prorocy i Pan Jezus po prostu

the Jews Became a Prophet of the Muslims” [Islamski Jezus: Jak król żydów został prorokiem muzułmanów], New York: St. Martin's Press, 2017). Wyrazy kolokwialnego szacunku do Jezusa przez muzułmanina przy okazji odwiedzin w Betlejem, zob. Ibn Battutah, „The Travels of Ibn Battutah” [Podróże], red. Tim Mackintosh-Smith (London: Picador, 2003), s. 26. Podobnie z szacunkiem o „Sayyid Issa” jako proroku wyrażali się XVII w. dyplomaci arabscy bin

Quasim i al-Mawsuli. (Zob. „In the Lands of the Christians: Arabic Travel Writing in the Seventeenth Century” [Na ziemiach chrześcijan: Arabskie piśmiennictwo podróźnicze w XVII w.], tłum. i red. Nabil Matar, New York and London: Routledge, 2003, 20, 177, passim. Porównaj podejście do Jezusa w judaizmie: Peter Schäfer, *Jesus in the Talmud* [Jezus w Talmudzie], Princeton, NJ: Princeton University Press, 2007. Zob. też Stanley Jaki, „Jesus, Islam, Science” [Jezus, islam, nauka], Pickney, MI: Real View Books, 2001).

Jeżeli tak, to właściwe jest mówienie o muzułmańskim Allahu, a nie o Panu Bogu. Mimo pewnych

wspólnych punktów odniesienia jest to jednak inny byt. W sensie metafizycznym dla chrześcijan – jak wiadomo – to, co nie pochodzi od Pana Boga, wywodzi się od Szatana.

Ale metafizyka jest wtórnym czynnikiem naszych dociekań. Głównie skoncentrujemy się na teologii, historii, polityce, kulturze i socjologii światów islamu. Chcemy zgłębić te zjawiska i przedstawić je w serii esejów zorganizowanych tematycznie. Na końcu zajmiemy się sprawami współczesnymi i odniesiemy je do wiary mahometańskiej oraz islamskiej historii. Chodzi nam o to, aby osoby zainteresowane kwestią islamu, miały punkt odniesienia do dalszych

studiów oraz do wyciągnięcia racjonalnych wniosków i skonstruowania logicznych argumentów wobec zjawiska muzułmańskiej obecności w Europie, czy – szerzej – w świecie zachodnim. Jest to obecność, która zagraża cywilizacji zachodniej. Jest ona o tyle dopuszczalna, o ile Europejczycy i inni odkryją na nowo w chrześcijaństwie i świadomości narodowej źródło swojej zanikłej potęgi. Polska ma tutaj wielką rolę do odegrania, w Polsce bowiem samoświadomość narodowa kwitnie, a chrześcijaństwo wciąż jest mocne. Nie ma natomiast solidnej wiedzy o islamie. Staramy się to naprawić.

Waszyngton, DC, 4 listopada br. **S**

CZY ZAPOZNAŁAŚ SIĘ Z NASZĄ OFERTĄ
SREBRNEJ BIZUTERII?

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL



KULTURA

WARTO WYCHODZIĆ ze strefy komfortu



Fot. arch. Edyty Anyszk

EDYTA ANYSZKA jest licencjonowaną nauczycielką Vedic Art oraz zabawy malarskiej prowadzonej metodą Arno Sterna. Obie te metody pomagają w nieskrępowanym wyrażaniu siebie i osiągnięciu wewnętrznego spokoju. Jedyną zasadą jest **wyłączenie wewnętrznego krytyka** i poddanie się całkowite emocjom i pomysłom.

– Staram się wnieść do warsztatów walor edukacyjny zarówno dla młodszych, jak i starszych odbiorców. Na początku ludzie boją się, gdy słyszą o warsztatach swobodnej zabawy malarskiej, potem mur zostaje rozbity – mówi **Edyta Anyszka**, malarka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Co robisz?

– Smakuję życie przez sztukę powszechną i dostępną dla wszystkich, którzy nie umieją malować akademicko.

– Czyli dla mnie. Co to znaczy „smakować życie”?

– Przede wszystkim trzeba doceniać to, co się ma. Trzeba zachęcać ludzi do tego doceniania, żeby szukali w życiu czegoś więcej. Warto rozbierać życie na czynniki pierwsze i cieszyć się każdą chwilą. Warto dzielić się swoimi przeżyciami i obserwacjami z innymi. I właśnie ja tak robię.

– Rozmowa ze mną też jest smakowaniem życia?

– Tak. Przyjechałam do Ciebie z małej miejscowości, a raczej wsi pod Gostyninem.

– Liczebność Twojej wsi przelicza się na domy?

– Tak. Zgadza się. Od zawsze mieszkalam na wsi, ponieważ urodziłam się na wsi. Wychodząc za mąż i przeprowadzając się, zmieniłam moje miejsce zamieszkania... też na wieś. Zastanawiałam się, co oprócz wykonywania podstawowych obowiązków żony i matki mam robić. Chciałam się spełniać. Od zawsze szło ze mną w parze malowanie i rysowanie.

– Jesteś absolwentką Akademii Sztuk Pięknych?

– Tak.

– Czyli jesteś wykształconą malarką?

– Można tak powiedzieć. Jest to jeden z moich zawodów.

– To co jeszcze oprócz ASP?

– Jestem magistrem ochrony śro-

– Obrządzanie gospodarstwa rolnego mnie nie ominęło. Mieliśmy hodowle krów i świń. Jednak nie były one duże. I w ten rolniczy pejzaż zawsze wkręcałam swoje rysowanie i malowanie. Tworzyłam portrety rodzinne.

– W Twoim życiu zawodowym bardzo ważna stała się... stodoła.

– Tak. W tym miejscu mogę realizować swoje pasje. W trakcie jednego z kursów trafiłam na dziewczynę, która prowadziła Vedic Art, czyli malowanie intuicyjne.

– Co to oznacza?

– Otrzymujesz kartkę i pędzel. Po prostu malujesz i uruchamiasz w sobie proces kreacji. Każdy człowiek posiada taki proces w sobie, tylko trzeba go rozpocząć. Często zapominamy o tym, że mamy coś takiego.

– O czym jeszcze zapominamy?

– O tym, że możemy być swobodni bez kija w czterech literach.

– Skąd się bierze ten kij?

– Mogę powiedzieć tylko na podstawie moich doświadczeń i obserwacji.

– Proszę bardzo.

– Wychowujemy się w różnych środowiskach. Na początku obserwujemy naszych rodziców i dziadków. Później wnikamy w szersze

CZĘSTO SŁYSZĘ: „CO ONA ROBI?! ARTYSTA MALARZ TO NIE ZAWÓD”.

dowiska. Także wieś i przyroda są ze mną.

– Od zawsze jesteś związana ze wsią. Jak wyglądały Twoje obowiązki?

środowiska i od nich przejmujemy pewne zachowania i nawyki. Dopóki nie jesteśmy w stanie sami dostrzeżać różnych rzeczy, to tkwimy w zamkniętych bańkach.

– Masz na myśli wychodzenie ze swojej strefy komfortu?

– Oczywiście, że tak. Nie jest to dla nas łatwy proces, ale w wyniku własnych doświadczeń mogę stwierdzić, że warto wychodzić ze strefy komfortu. I tym wyjściem było dla mnie malowanie.

– Właśnie o to miałem Cię teraz zapytać.

– Podkreślę to raz jeszcze. Malowanie jest moim wyjściem ze strefy komfortu. Prowadząc warsztaty, dostrzegam, że dorośli ludzie żyją w bańkach, w których nie ma miejsca na przestrzeń i swobodę w działaniu. Na szczęście dzieci nie są tak bardzo wytresowane i wyuczone takiej zamkniętej postawy na ludzi i zjawiska. Dzieci nie boją się swobody, którą posiadamy. Kiedy mówię na moich warsztatach, że nie ma określonego tematu prac, to jest konsternacja. Każdy się zastanawia, dlaczego nie ma tematu. Na co dzień jesteśmy zadaniowi, musimy zrobić to, tamto, siamto i owamto. I w tym momencie zaczyna się zabawa.

– Kto ma swobodę w dorosłym życiu, jest postrzegany jako osoba niepoważna. Co z tym zrobić, żeby połączyć swobodę z dobrą opinią w społeczeństwie?

– Oczywiście mogę z Tobą polemizować na ten temat, jestem otwarta na to. Walczę ze stereotypami. Wieś

OTRZYMUJESZ
KARTKĘ I PĘDZEL.
PO PROSTU
MALUJESZ
I URUCHAMIASZ
W SOBIE PROCES
KREACJI.

jest cudownym miejscem, które ma swoje korzenie, ale też jest specyficzna pod kątem tego, co robię. Często słyszę: „Co ona robi?! Artysta malarz to nie zawód”.

– To podkreślaj, że jesteś magistrem ochrony środowiska.

– Od zawsze byłam osobą, która nie bała się krytyki, i przez to mogłam być różnie postrzegana przez ludzi. Jednak jestem wierna sobie i nie oglądam się na innych.

– To może opowiedz o swoich warsztatach.

Edyta Anyszka o sobie:

Od kilkunastu lat jestem szczęśliwą żoną, mamą dwójki najlepszych nauczycieli – moich dzieci – Antka i Franka. Jestem też licencjonowaną nauczycielką Vedic Art oraz zabawy malarskiej prowadzonej metodą Arno Sterna. Moje pasje to malowanie i kontakt z naturą. Od dzieciństwa sięgałam po pędzel, by wyrazić swoje pragnienia i emocje. Doprowadziło mnie to w stronę malarstwa intuicyjnego, swoistej medytacji z pędzlem w ręku, która pozwala na odprężenie się i wewnętrzny wgląd. Z miłości do natury zamieszkałam na wsi, a swój ogród traktuję jako miejsce relaksu, przyjemności i inspiracji. Z obu tych pasji zrodził się pomysł na Malownię, w której obie te rzeczy się łączą. Chcę, by było to miejsce, w którym każdy będzie mógł odetchnąć, poczuć ulgę od codziennej presji i stresu, wejść w kontakt ze swoimi emocjami poprzez warsztaty malarskie.

organizowania takich spotkań. Staram się wnieść do warsztatów walor edukacyjny zarówno dla młodszych, jak i starszych odbiorców. Na początku ludzie boją się, gdy słyszą o warsztatach swobodnej zabawy malarskiej, potem mur zostaje rozbity. Wtedy można spokojnie wyjść ze swojej strefy komfortu.

– Od czego zaczynamy?

– Zamykasz oczy. Zapraszam Cię do miejsca warsztatowego, czyli pomieszczenia, gdzie nie ma okien. Na środku jest stół z osiemnastoma farbami. Do każdej farby są przydzielone trzy pędzle, podaję Ci białą, czystą kartkę. Powoli możesz

otworzyć oczy. Chcę, żebyś wskazał mi miejsce na ścianie, gdzie chciałbyś przykleić swoją kartkę, w którym miejscu chcesz malować. Przyklepamy kartkę na ścianie tam,

gdzie chcesz. Podchodzisz do stołu, wybierasz ulubiony kolor, stajesz przed kartką i zaczynasz malować.

WARTO WYCHODZIĆ ZE STREFY KOMFORTU. TYM WYJŚCIEM BYŁO DLA MNIE MALOWANIE.

– Prowadzę je stacjonarnie, ale gdy jest potrzeba, dojeżdżam też do klientów. Nakłaniam firmy do or-

– **Wybieram czarny.**

– Wokół czarnego jest mnóstwo stereotypów, ale jest OK.

– **Jakie to są stereotypy?**

– Jak dziecko maluje czarnym kolorem, to rodzina jest przerażona

– **Ludziom to pomaga?**

– Tak.

– **Kartka papieru jak worek treningowy?**

– Metaforycznie? Tak. Zachęcam do regularnych „treningów”. Wtedy

widać efekty i ludzie są zadowoleni. Często dorosły obawia się dołączyć do nas sam, więc przychodzi z dzieckiem. Młoda osoba chce, a starsza nie do koń-

– **Jesteś w stanie utrzymać się ze swoich warsztatów?**

– Jest to dodatek. Mam jednak to szczęście, że to nie jest moje jedyne źródło dochodu.

– **Typowa artystka.**

– Mój mąż czasami twierdzi, że jestem artystką bujającą w obłokach, a ja go uświadamiam, że nie. Mocno stąpałam po ziemi.

– **Kiedy rozpoczęłaś działalność artystyczną?**

– Cztery lata temu.

– **W trakcie pandemii?**

– Otworzyłam działalność na początku 2020 roku.

– **Dajesz szczęście ludziom poprzez malowanie?**

– Mam taką nadzieję.

– **Gdzie można więcej poczytać o Twojej działalności?**

– Mam profile w mediach społecznościowych. Na Facebooku, na In-

stagramie.

Mam też stronę internetową: www.malownia.com.pl.

– **Nie myślałaś o tym, żeby zostać celebrytką?**

– Raz byłam w „Dzień Dobry TVN”. Mówiłam o tym, jak zniwelować stres u dzieci po pandemii. Bardzo mi się podobało.

Mam nadzieję, że będę otrzymywać częściej takie zaproszenia. A odpowiadając na Twoje pytanie – nie mam aż takiego parcia na szkło.

Współpraca: Basia Milewska 

NIEDAWNO MIAŁAM
KILKU CHŁOPCÓW, KTÓRZY
RYSOWALI SYMBOLE LEGII.
PATRZYLI NA MNIE, NIE
ZADAWALI PYTAŃ, TYLKO
CZEKALI NA MOJĄ REAKCJĘ.
BYŁY TO WULGARNE RYSUNKI.

i przypuszcza, że jest coś nie tak z jej dzieckiem.

– **Czarny dobrze komponuje się z każdym kolorem.**

– Zgadza się. Też tak uważam. Co do treści uczestnicy warsztatu malują różne rzeczy. Niedawno miałam kilku chłopców, którzy rysowali symbole Legii. Patrzyli na mnie, nie zadawali pytań, tylko czekali na moją reakcję. Były to wulgarne rysunki. Byli przeciwnikami warszawskiego klubu piłkarskiego. Chcieli wyrazić to, co czuli.

– **Jak zareagowałaś na tego rodzaju „sztukę”?**

– Popatrzyłam na nich i dałam im kolejną kartkę. Stwierdziłam, że mają za mało kartek i potrzeba im więcej przestrzeni. Byli bardzo zdziwieni moją reakcją, że nie zanegowałam ich działań.

– **Ciekawa forma terapii.**

– Arteterapia. Skupiam się na sztuce przez malowanie.

ca. Z czasem dorośli przekonują się do malowania. Każdy otrzymuje swoją kartkę i każdy tak naprawdę jest sam ze sobą.

– **Rodzic wtedy patrzy na dziecko?**

– Są takie przypadki, i to jest straszne.

– **Drogie są Twoje warsztaty?**

– Na dziś jednorazowy udział w godzinnych warsztatach z materiałem kosztuje 55 złotych.

– **To niedużo.**

– To Czytelnicy i Ty musicie ocenić. Patrząc na realia, to nie jest duża kwota. Jednak na lokalnym rynku taka cena też jest przeszkodą.

CZĘSTO DOROSŁY
OBAWIA SIĘ
DOŁĄCZYĆ DO NAS
SAM, WIĘC
PRZYCHODZI
Z DZIECKIEM.
Z CZASEM
PRZEKONUJE SIĘ
DO MALOWANIA.

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

KIERUNEK: WILANÓW

Śladami warszawskiej mikromanii

Krzysztof Karnkowski

TO NIE BĘDZIE TYPOWY SPACER PO WARSZAWIE. POSZCZEGÓLNE JEGO elementy można zaliczyć za jednym razem, ale będzie to wyzwanie dość karkołomne. Trasę można zrobić na piechotę, ale można też zadowolić się komunikacją miejską. Można wreszcie odbyć go tylko symbolicznie, bo i o symbolikę tym razem będzie chodziło – to spacer śladami kluczowych warszawskich inwestycji, które stały się elementami polskiej wojny kulturowej, a zarazem narzędziami przemocy symbolicznej w ręku jednej ze stron tej wojny. Ale nie tylko to łączy kładkę, muzeum i tramwaj, o których dziś będzie mowa.

Pieszorowerowa kładka nad Wisłą otwarta została w kwietniu tego roku. Okrzyknięta przez media wielkim sukcesem władz miasta niemal dosłownie stała się celem pielgrzymek osób, których ogólny profil wskazywałby na sympatyzowanie z obecnymi władzami zarówno stolicy, jak i kraju.

Pielgrzymki na kładce

„Hitowy punkt na mapie Warszawy. Nowa kładka na Wiśle bije rekordy” – z dumą donosił serwis Polskiej Agencji Prasowej, według którego mostek w pierwszym tygodniu odwiedziło 200 tysięcy osób. Piesza przeprawa łącząca śródmie-

ście z Pragą na wysokości ulic Karowej i Okrzei była oczywiście potrzebna, niemniej ekstaza sporej części dziennikarzy wywołała reakcję w postaci krytyki. Przede wszystkim dotyczącej umiejscowienia inwestycji, oddania jej w stanie częściowo niedokończonym, wreszcie finansowania, które mogło być wykorzystane na bardziej palące potrzeby mieszkańców. Ponieważ jednak zastrzeżenia zgłaszała głównie prawicowa lub socjalna opozycja, dla strony liberalnej zachwyty nad kładką stał się wręcz wyznaniem wiary. Każdy zgłaszający choćby najbardziej zasadne wątpliwości (ot, choćby do tego, że niektóre rozwiązania nie służą bezpieczeństwu uczestników ruchu), stawał się w najlepszym razie populistą. Tak jak Jan Śpiewak, który po stwierdzeniu faktu, że „Kładka kończy się po obu stronach ruchliwą drogą bez żadnej (!) integracji z miastem, a ruch rowerowy nie jest

odseparowany w żaden sposób od pieszego” spotkał się z mocnym odzewem sympatyków PO zarzucających mu nieudacznictwo i inne, dużo gorsze rzeczy. Dość przeciętny i banalny obiekt dla salonu okazał się tak istotny, że w „Rzeczpospolitej” ukazał się nawet sondaż, w którym Polacy oceniali jego przydatność. Tyle, że dla 44% ankietowanych inwestycja okazała się obojętna lub

Kładka nad Wisłą otwarta w kwietniu tego roku niemal dosłownie stała się **celem pielgrzymek** wyborców władz miasta.

w ogóle o niej nie słyszeli. Spacerując po kładce, która dziś przestała już chyba budzić tak silne emocje, nie zapominajmy, że ten wielki w oczach sympatyków sukces był efektem dużo dłuższego, niż mogłoby się wydawać, procesu decyzyjnego

i inwestycyjnego. Kładka miała pierwotnie zostać oddana do użytku 5 lat wcześniej, tyle że jak zwykle w Warszawie zaczęły piętrzyć się przeszkody. I – powiedzmy sobie szczerze – gdyby nie fakt, że w kwietniu odbywały się wybory samorządowe, zapewne jeszcze trochę byśmy na tę możliwość spaceru przez Wisłę poczekali.

Sztuka w kostce

Kolejny punkt na naszej mapie to Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Choć istnieje od prawie 20 lat, od początku było wiadomo, że jego wcześniejsze lokalizacje są jedynie tymczasowe. Docelowym miejscem dla tej placówki miała być wschodnia strona placu Defilad, potężnej przestrzeni u podnóża Pałacu Kultury i Nauki. Na początku obecnego stulecia większą część tego terenu zajmowały Kupieckie Domy Towarowe. Choć miasto było współwłaścicielem obiektu, urzędującym tam kupcom i ich pracownikom w 2009 roku zafundowano eksmisję, będącą jednym z brutalniejszych działań Platformy Obywatelskiej. Wobec pozostających w obiekcie ludzi użyto przemocy z wykorzystaniem związanej z dawnymi służbami firmy ochroniarskiej. W zamkniętym pomieszczeniu, w którym znajdowali się ludzie, w tym wiele kobiet, wypuszczono nawet gaz. Wszystko przy aprobachie większości mediów od lewa do prawa. Część wspierających pisała o egzekwowaniu prawa własności, inni cieszyli się, że z reprezentacyjnego miejsca stolicy znikną mało estetyczne pawilony. Zamiast nich pojawić się miało właśnie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Nim się to stało, pod Pałacem Kultury na długo zagościł chaos, obskurne ogrodzenia i baraki, stanowiące zaplecze budowy muzeum, które w międzyczasie tułało się pod innymi adresami. Tyle że gdy w końcu, 15 lat później, zostało oddane do użytku, dla wielu osób efekt był co najmniej rozczarowujący. Dostaliśmy bowiem nad wyraz prostą budowlę, białe pudełko kojarzące się lekko ze stylem bauhaus, ale w bardzo minimalistycznej formie. Według mnie miałoby to sens, gdyby potraktować dzieło jako tworzywo, urozmaicić

Każdy, kto pozwoli sobie na krytykę lub tylko danie wyrazu rozczarowaniu, natychmiast zakrzykiwany jest przez znawców, ekspertów i arbitrów elegancji.



LEGENDA:

- | | |
|----------------------|-------------------------------|
| Ⓐ kładka przez Wisłę | Ⓑ Muzeum Sztuki Nowoczesnej |
| Ⓒ tramwaj na Sielce | Ⓓ nowa linia tramwajowa |
| Ⓔ odnoga na Stegny | Ⓕ Świątynia Opatrzności Bożej |

narzucanymi na nie obrazami, światłami lub obsadzić elementami roślinnymi. Nic takiego się jednak nie stało, w efekcie reprezentacyjne muzeum przypomina raczej biedny hangar na zapylonym lotnisku, magazyn lub wręcz kontener. Okazuje się jednak, że znów wszelka krytyka stała się sprawą polityczną, uderzeniem w aksjomaty liberalnej mikromanii, która wielkie pro-

jekty topi, a liche każe czcić z entuzjazmem. Przyznam, że w środku jeszcze nie byłem. Wciąż łudzę się, że to jakiś piętrowy żart, w którym każdy wchodzący do środka znajduje ekipę z kamerą, która śmieje się, że kolejny naiwniak dał się wkręcić. I wymusza na nim milczenie groźbą ośmieszenia, tak, by na ten wygłup złapały się kolejne setki osób. Bo czy

mogę traktować poważnie placówkę kultury, niechby i nowoczesnej, której jedynym znanym mi z mediów eksponatem jest zdjęcie obrobionego drewnianego pnia z napisem „człowiek ku..s” (w oryginale bez cenzury)?

>



Fot. autor

Gra kompleksami

Aura wokół obiektu, według twórców mającego celebrować i wykorzystywać światło, jest jednak nieznośna z innych powodów. Oto bowiem każdy, kto pozwoli sobie na krytykę lub tylko danie wyrazu rozczarowaniu, natychmiast zakrzykiwany jest przez znawców, ekspertów i arbitrów elegancji. Biały klocek okazuje się być dla nich orężem w walce z ciemną, zacofaną i nierozumiejącą nowości Polską. Kto nie z nami, ten przeciw nam – i to w ponurym, mrocznym i bardzo nieprzyjemnie pachnącym miejscu. Jako kluczowy argument w tych polemikach pojawiały się liczne zdjęcia będących umiarkowanymi sukcesami architektury sakralnej kościołów. Elity uznały bowiem, że ci, którzy w ich mniemaniu nie mogliby jako katolicy skrytykować wyglądu świątyni (choć przecież robią to bardzo często), lub wręcz za niego odpowiadają, nie mają prawa wypowiadać się krytycznie o budyneczku muzeum. O architekturze zaczęto więc rozmawiać z nami za pomocą werbalnych pał, argumentów z zawstydzania i autorytetu. I znów – każe nam się bić pokłony przed przeciętnością i uwierzyć, że jest to szczyt naszych możliwości. Co gorsza, być może za obecnej ekipy rządzącej tak właśnie jest, to jednak temat na oddzielne rozważania.

Tramwaj zwany rozgrzebaniem

Gdy już obejrzymy muzeum, możemy wsiąść w tramwaj 16 (do Wilanowa) lub dojechać 4 lub 18 do pl. Unii Lubelskiej i tam przesiąść się bądź w 11, jadącą na Sielce, bądź 14 i 16, które zawiozą nas do Miasteczka Wilanów. To największa z opisanych dziś inwestycji, niebędąca wbrew częstym opiniom odbudową zamkniętej jeszcze w 1973 roku trasy prowadzącej Wisłostradą do pętli w pobliżu znanego pałacu. Tramwaj do Wilanowa w obecnej

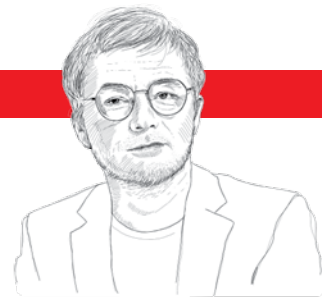
Łatwo tu się potknąć i coś sobie zrobić, większość trasy jest bowiem **rozgrzebana**, prowadzi przez wertepy i wykopy.

formie to projekt dyskutowany od wczesnych lat dwutysięcznych, sfinalizowany jednak dopiero w ostatnich miesiącach (nie licząc wciąż budowanej odnogi na Stegny,

która powinna być gotowa w przyszłym roku). W ramach inwestycji najpierw oddano jej krótszy fragment, prowadzący przez ulicę Spacerową, z odnogą w ciągu ul. Gagarina, który wiosną będzie zapewne całkiem miłą trasą spacerową, wiodącą wzdłuż zieleni (w tym Łazienek) i delikatnych spadków wzniesień terenu. Pod koniec października tramwaje w końcu pojawiły się w ciągu ulic Sobieskiego – al. Rzeczypospolitej. Być może i tam kiedyś będę mógł zaprosić Czytelników na piękny spacer z powrotem którymś z tramwajów, na trasie mamy bowiem i połączenie ogrodów działkowych, i posowiecki „szpiegowiec”, w którym mimo zapowiedzi nic kolejny rok się nie dzieje, stare i nowe osiedla, a na końcu trasy Świątynię Opatrzności Bożej. Na razie jednak łatwo tu się potknąć i coś sobie zrobić, większość trasy jest bowiem rozgrzebana, prowadzi przez wertepy i wykopy, a do tego spory odcinek zachodniej jezdnii Sobieskiego pozbawiony jest oświetlenia. Tramwaj, choć potrzeby, zamiast wzbogacić ofertę dla mieszkańców, pozbawił ich wielu połączeń autobusowych, a źle prowadzona budowa spowodowała szereg utrudnień dla pieszych i kierowców, które mimo otwarcia linii trwać będą jeszcze przez wiele miesięcy. Niestety i tu wchodzi polityczna wojna. Tramwaju nie da się ani pochwalić, ani skrytykować, choćby i racjonalnie, okoliczności jego powstania. Jedno i drugie skutkuje bowiem wejściem w sam środek pola bitwy ratusza, jego pracowników i przeciwników. Skutkiem ubocznym może być niestety zniechęcenie ludzi do rozbudowy sieci tramwajowej w Warszawie. Poprzez specyficzny harmonogram zakładana zmiana na lepsze będzie odczuwalna za jakiś czas. Być może jednak ważniejsze od niej jest tych kilka zdjęć, które udało się zrobić Rafałowi Trzaskowskiemu w komunikacji miejskiej. **S**

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Polska wolność, polska miłość



Jan Wróbel

Kiedy Rzeczpospolita w 1795 roku upadła – zdawałoby się, że raz na zawsze – rodzina Czartoryskich wysłała dwóch ujmujących i bystrych synów do Petersburga. Powód był fundamentalny – znaczna część dóbr rodzinnych zajęta była przez Rosjan. Dochodów zatem mało, a długi, owszem, urosły. Po latach Adam Jerzy Czartoryski wspominał ten przyjazd: „Aby wyobrazić sobie, z jakim uczuciem wjechaliśmy do stolicy państwa moskiewskiego, trzeba przypominąć, jakie wychowanie odebraliśmy.

Było ono dotąd zupełnie polskie i republikańskie. Dzieje, literatura starodawna i nasza ojczysta były nauką młodości. Roili nam się nieustannie cnoty Greków i Rzymian i jakby

je za przykładem naszych naddziadów do spraw krajowych przystosować. Nowsze nauki o wolności, brane z Francji i Anglii, prostowały cokolwiek pojęcia, lecz w niczym uczuć nie ziębiły. Miłość ojczyzny, jej chwały, jej praw i wolności była nam wpajaną przez wszystko, czegośmy się uczyli, na cośmy patrzyli i czegośmy słyszeli. Do tego uczucia, które weszło przez wszystkie pory w istność naszą, łączyła się najwyższa odraza i nienawiść

przeciw tym, którzy niewinną Polskę, tę drogą ojczyznę, o zgubę przyprowadzili. [...] nie mogłem w owych czasach spotkać Moskala i spojrzeć na niego, żebym natychmiast nie uczuł, że twarz mi się mieni, że blednieję i czerwienieję na przemiany. Tak mi się krew burzyła na sam widok tych, których wszystkich miałem za sprawców nieszczęść kraju mojego”.

Mógłbym tak cytować bez końca, ale boję się, że o honorarium za felieton upomniałaby się Funda-

młody Czartoryski niemal płonął („nie mogłem obronić się najwyższemu podziwieniu i rozczuleniu”, przyzna). Hm...

2. Mimo płomiennej deklaracji patriotycznej stanie się autor niemal ambasadorem marki polsko-rosyjskiego porozumienia. Napisze zresztą, że niespodziewanie wielu Rosjan (z elity) okaże się sympatycznymi, chciałoby się rzec, normalnymi, ludźmi – życzliwymi nawet wobec przybysza z kraju Kościuszki.

3. Wreszcie wielu Polaków ma dzisiaj tak samo. Blednie, czerwienieję i się burzy. Tyle że na widok rodaka, który głosuje na Donalda Tuska (czy, mentalnie, na Kamalę Harris). A dobroduszone, płynące z serca proponowanie w takim przypadku porady le-

karskiej spotyka się z wrogością. Mniej więcej z taką samą, jak jeszcze niedawno proponowanie usług systemu ochrony zdrowia niektórym działaczom KOD, KO i większości Obywateli RP.

Tak czy owak, Czartoryskiemu udało się trudna sztuka – mimo uzasadnionej nienawiści do Moskali ujrzeć w nich ludzi, a przy tym nie zdradzić Polski. Czy trudniej postąpić tak wobec rodaków niż wobec Ruskich? **S**

„KREW SIĘ BURZYŁA NA SAM WIDOK TYCH, KTÓRYCH WSZYSTKICH MIAŁEM ZA **SPRAWCÓW NIESZCZĘŚĆ** KRAJU MOJEGO”.

cja Książąt Czartoryskich. Przechodzę zatem do odczuć własnych: dziwnie się czyta te wspaniałe napisane i świetnie charakteryzujące Polaka słowa.

1. Przecież tenże, przesiadując w Petersburgu, pokochał następcę rosyjskiego tronu, Aleksandra (a już całkiem bez przenośni również jego żonę). Przyszły car niemal powierzył swój los w ręce Polaka, zwierając mu się z emocji... tak przeciwnych caratowi, że

CO W ZWIĄZKU

NSZZ
Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Nie ma konkretów, jest PROTEST.

„Ludzie są zdeterminowani, by walczyć o swój byt”

Ponad 600 funkcjonariuszy i pracowników służb publicznych protestowało 5 listopada przed siedzibą Rady Dialogu Społecznego. Warszawską pikietę zorganizował Krajowy Sekretariat Służb Publicznych NSZZ „Solidarność”.

Związkowcy chcieli dać sygnał rządzącym, że strona społeczna jest zdeterminowana walczyć o swoje wynagrodzenia nie tylko przy stole, ale w razie konieczności również na ulicy.

– Chcemy pokazać, że ludzie są zdeterminowani, chcą walczyć o swój lepszy byt. Zresztą nie tylko swój, ale także swoich rodzin, bo jak się jest funkcjonariuszem, to cała

rodzina jest zaangażowana w tryb służby. Tu nie ma pracy od 8 do 16. Służymy 7 dni w tygodniu przez cały rok – mówił nam Andrzej Kołodziejcki, szef „S” Służby Więziennej.

Solidarność domagała się 15-procentowych podwyżek wynagrodzeń dla służb publicznych, sztywnego powiązania budżetów służb mundurowych ze wskaźnikiem PKB oraz zrównania świadczeń socjalnych funkcjonariuszy podległych MSWiA, MS i MF ze świadczeniami żołnierzy zawodowych.

Data pikiety nie była przypadkowa. Tego dnia obradował zespół ds. usług publicznych RDS, który rozpatrywał stanowisko przyjęte

przez podzespół ds. służb mundurowych RDS. W tymże stanowisku strona społeczna wyraziła swój sprzeciw wobec zapowiedzianej 5-procentowej podwyżki wynagrodzeń dla funkcjonariuszy i pracowników tzw. mundurówki. To dokładnie tyle samo, ile ma wynieść przyszlusoroczna inflacja.

W posiedzeniu zespołu ds. usług publicznych brał udział wiceszef Solidarności. Bartłomiej Mickiewicz przekazał, że na spotkaniu nie padły żadne konkrety, co nie było dla związkowców żadnych zaskoczeniem.

– Czekamy na konkretne rozwiązania i propozycje ze strony rządowej, zgodnie z deklaracją mini-

stra spraw wewnętrznych Tomasza Siemoniaka, do 15 listopada. Pikietą, która dzisiaj się odbyła, mam nadzieję, że da rządzącym do zrozumienia, że sytuacja jest naprawdę napięta. Będziemy walczyć o to, żeby w służbach mundurowych i ogólnie w służbach publicznych sytuacja uległa zdecydowanej poprawie – podsumował Mickiewicz.

Związkowcy przynieśli ze sobą symboliczną trumnę i zapowiedzieli, że jeśli ich postulaty nie zostaną uwzględnione, powrócą do Warszawy z większą siłą. **S**



Fot. M. Zęgliński



Fot. M. Żeglirski

„Kobietom pracującym w handlu wolna Wigilia się należy, bo okres przedświąteczny to straszna orka. To okres, w którym nikt nie otrzymuje dni wolnych ani urlopu”.

Alfred Bujara, szef handlowej „S”,
Radio Maryja, 28 października br.

OWOCNE NEGOCJACJE W VOLKSWAGENIE

Organizacja Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność” w Volkswagen Poznań z sukcesem zakończyła negocjacje z pracodawcą dotyczące wynagrodzeń zasadniczych, premii, dodatków i bonusów, które mają obowiązywać do końca 2027 roku.

W wyniku rozmów postanowiono utrzymać w kolejnych trzech latach zarówno bonus wakacyjnych w wysokości 100 proc. wynagrodzenia zasadniczego, jak i bonus świąteczny odpowiadający 70 proc. pensji. Ustalono też, że wskaźnik wzrostu płac dla załogi będzie na wyższym poziomie od prognozowanej inflacji.

Przewodniczący „S” w Volkswagen Poznań Piotr Olbryś wyraził zadowolenie z uzyskanych warunków płacowych. Dodał, że istotnym argumentem w negocjacjach były dobre wyniki finansowe wielkopolskich zakładów.

Pełne porozumienie zostanie podpisane po dopięciu szczegółów dotyczących m.in. wysokości świadczeń przedemerytalnych.

WYGRANA W SĄDZIE

Przewodnicząca Solidarności w Netto Indygo Elżbieta Jakubowska wygrała w sądzie sprawę o niezgodne z prawem wypowiedzenie warunków umowy o pracę.

Działaczka od lipca 2006 roku pracowała w Tesco, najpierw na stanowisku sprzedawcy, a od marca 2010 roku jako lider zespołu. Dziesięć lat później

nastąpiły przekształcenia własnościowe. W 2020 roku Tesco zostało przejęte przez Salling Group, a sklepy zmieniły nazwę na Netto.

Wówczas przewodniczącej Solidarności zaproponowano, aby przeniosła się do marketu w Legnicy położonego kilkadziesiąt kilometrów dalej. Przez kolejne dwa lata pracowała tam na stanowisku sprzedawcy, zarabiając minimalną krajową. Elżbieta Jakubowska nie zgadzała się z degradacją stanowiska i pogorszeniem warunków pracy, dlatego wstąpiła na ścieżkę sądową.

Pierwsza korzystna dla działaczki „S” decyzja zapadła w kwietniu br. Sąd Rejonowy w Lubinie uznał, że wynagrodzenie pani Jakubowskiej powinno być zaktualizowane do kwoty, którą uzyskiwali zastępcy kierownika sklepu. Dodał przy tym, że zwłaszcza po likwidacji hipermarketu Tesco działaczka Związku otrzymywała zaniżone wynagrodzenie.

Sąd stwierdził, że przeprowadzona konsultacja związkowa była nieprawidłowa i naruszała przepisy prawa pracy.

Drugi wyrok sądu zapadł po apelacji złożonej przez spółkę Netto. 30 września Sąd Okręgowy w Legnicy podtrzymał decyzję pierwszej instancji i zarządził wypłatę odszkodowania na rzecz przewodniczącej Solidarności.

JUBILEUSZOWY KONKURS PLASTYCZNY

Zakończyła się jubileuszowa edycja konkursu plastycznego „Mój dom,

moje miasto, moja Ojczyzna” skierowanego do dzieci i młodzieży z Dolnego Śląska. Konkurs został zorganizowany przez dolnośląską Solidarność i przewodniczącą MSOiw Danutę Utratę już po raz 25, a jego pomysłodawcą był Janusz Wolniak.

W tym roku uczniowie musieli przygotować prace na temat „Uroczystości świąt narodowych”. Mogły one dotyczyć między innymi Narodowego Święta Niepodległości, ustanowienia Konstytucji 3 maja czy Powstania Warszawskiego.

W kategorii do lat 7 pierwsze miejsce zajęła Maja Pancerowicz, a w przedziale wiekowym od 8 do 11 lat najlepsza okazała się Agnieszka Liubchak. Obie dziewczynki uczęszczają do Szkoły Podstawowej nr 44 we Wrocławiu.

W kategorii od 12 do 14 lat najlepszą pracę przygotowała Nina Kowalska ze Szkoły Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Kostomłotach. Z kolei w przedziale wiekowym od 15 do 19 zwyciężyła Anna Usova z Zespołu Szkół Zawodowych nr 5.

Nagrody laureatom konkursu wręczono 6 listopada w siedzibie dolnośląskiej „S”. Podczas uroczystości przewodniczący Kazimierz Kimso mówił o wysokiej cenie, jaką nasi przodkowie musieli zapłacić za odzyskanie przez Polskę niepodległości. Zebrani odśpiewali także wspólnie pieśni legionowe w związku ze zbliżającymi się obchodami Narodowego Święta Niepodległości.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

18.11.1986 – NSZZ „Solidarność” zostaje członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowej Konfederacji Pracy;

17.11.2003 – w 24-godzinny strajku ostrzegawczym w kopalniach wzięło udział 35 tys. osób.

Huta Częstochowa walczy o przetrwanie

Strategiczny zakład produkujący stal na potrzeby przemysłu zbrojeniowego i cywilnego szuka inwestora. Pracownicy od 11 miesięcy nie mogą świadczyć pracy i odliczają dni do wznowienia produkcji. Do gry o częstochowską Hutę przystąpiło kilku interesantów. Kto ma największe szanse na dzierżawę zakładu?

Marcin Krzeszowiec

Huta Liberty Częstochowa to zakład o strategicznym znaczeniu, który zatrudnia około 950 pracowników. Jako jedyny w Polsce produkuje blachy grube w technologii niskoemisyjnej, co określa się mianem „zielonej stali”. Wykorzystuje do tego piec elektryczny, gdzie wkład zamiast rudy żelaza stanowi złom. Stal bowiem w stu procentach nadaje się do recyklingu.

Grube blachy znajdują zastosowanie w przemyśle zbrojeniowym, stoczniowym, jak i w sektorze budowlanym, górniczym czy energetycznym. Wykorzystuje się je do produkcji czołgów, konstruowania wież wiatrowych czy budowy rurociągów. Częstochowska Huta dostarczała też swoją stal do realizacji wielu innych projektów, jak na przykład budowa schodów na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Obecnie grube blachy musimy sprowadzać ze Szwecji, Danii czy Niemiec, ale na rynku pojawili się również bardziej egzotyczni eksporterzy z Chin, Indonezji, Malezji, Japonii czy Brazylii. Zwiększenie rodzimej produkcji pomogłoby zatem

w uniezależnieniu się od zewnętrznych dostawców.

Mimo tak ważnej pozycji w łańcuchu dostaw położony w województwie śląskim zakład od wielu lat zмага się z poważnymi problemami.

Historia częstochowskiej Huty sięga końca XIX wieku. Znajdujące się w pobliżu pokłady rudy żelaza, wapienia, wody przemysłowej oraz dobra komunikacja kolejowa miały kluczowe znaczenie przy decyzji budowy w tym

lencji gospodarczych i częstych zmian właściciela – przetrwała do dziś.

W 1998 roku zakład przekształcono w spółkę akcyjną, a w 2005 roku przedsiębiorstwo zostało kupione przez ukraiński Przemysłowy Związek Donbasu i przyjęło nazwę ISD Huta Częstochowa. Taki stan właścicielski utrzymywał się do 2019 roku, ale ostatnie pięć lat to istna karuzela nastrojów dla pracowników.

Emocjonalny rollercoaster

W maju 2019 roku w ISD Huta Częstochowa wstrzymano produkcję. W konsekwencji kilka miesięcy później Sąd Rejonowy w Częstochowie ogłosił upadłość firmy.

We wrześniu 2019 roku syndyk postanowił wydzierżawić Hutę na rok firmie Sunningwell International Polska. Ta wznowiła działalność, ale potrwało to tylko do października 2020 roku, dlatego na początku

W GRZE O CZĘSTOCHOWSKĄ HUTĘ BRAŁY UDZIAŁ CZTERY PODMIOTY. WSZYSTKO WSKAZUJE NA TO, ŻE ZAKŁAD WYDZIERŻAWI PAŃSTWOWA SPÓŁKA WĘGŁOKOKS.

miejsu zaplecza surowcowego służącego zakładom produkcyjnym. Od czasów rewolucji przemysłowej stal i węgiel były podstawą każdej rozwijającej się gospodarki, dlatego częstochowska Huta – pomimo dwóch wojen, turbu-

grudnia syndyk rozwiązał ze spółką umowę dzierżawy.

W tym samym miesiącu udało się wydzierżawić Hutę nowemu podmiotowi – Corween Investments. Spółka zmieniła nazwę na Liberty Często-



Fot. M. Żegliński

chowa i w maju 2021 roku kupiła częstochowską Hutę za 190 mln złotych. Zakład znów zaczął produkować i pracownicy mogli mieć poczucie, że wszystko zacznie się układać. Niestety, pod koniec października 2023 roku doszło do kolejnego wstrzymania produkcji i do dzisiaj jej nie wznowiono.

W lipcu tego roku Sąd Rejonowy w Częstochowie ogłosił upadłość Huty i wyznaczył syndyka masy upadłościowej.

Walka o miejsca pracy

Pracownicy częstochowskiego zakładu od 11 miesięcy nie mogą pracować, a za wrzesień otrzymali tylko tysiąc złotych wypłaty.

– Dzisiaj nie ma pieniędzy na wypłatę, ale nie mniejszym problemem jest również to, że syndyk nie ma dzisiaj pieniędzy, żeby zapłacić za energię, za wodę, za ochronę. My dzisiaj

na naszej walcowni mamy „podziemne miasto”, które zalewa woda. Tam są pompy, które muszą cały czas pompować tę wodę na zewnątrz. Jeśli to zatrzymamy, to zostaniemy zalani i zniszczeni – mówił nam Robert Goner, przewodniczący „S” w Hucie Liberty Częstochowa w trakcie manifestacji, którą Związek zorganizował 23 października br. w stolicy.

Hutnicy domagali się wówczas, aby rząd udzielił syndykowi 15 mln pożyczki na utrzymanie zakładu i wypłatę pensji dla załogi. Syndyk Adrian Dzwonek obecnie poszukuje inwestora, który zechciałby przejąć Hutę i wznowić produkcję.

Zainteresowanie wydzierżawieniem Huty z prawem pierwokupu wyraził państwowy Węgłokoks. To spółka należąca do Skarbu Państwa, co może rodzić pewne nadzieje na stabilizację sytuacji.

– Strona rządowa dostrzega wyjątkowy potencjał zakładów hutniczych działających na obszarze naszego kraju. Huta Częstochowa jest ważnym zakładem produkcyjnym o znaczeniu strategicznym, mogącym również produkować blachy na potrzeby przemysłu zbrojeniowego – przekazał portalowi money.pl departament komunikacji MAP.

– Z uwagi na posiadane kompetencje i zasoby w zakresie technologii, a także oferowanych produktów, przejęcie tego zakładu miałoby sens i uzasadnienie biznesowe – dodało ministerstwo.

Związkowcy z Solidarności poinformowali nas, że do tej pory w grze o częstochowską Hutę pozostawały cztery podmioty. Był to ukraiński holding Metinvest, dotychczasowy właściciel grupa Liberty, poprzedni >

właściciel Sunningwell i wspomniany Węglkokoks.

– Ani strona społeczna, ani – jak myślę – potencjalni kontrahenci nie chcieliby już robić interesów z Liberty i Sunningwell. Z naszego doświadczenia wynika, że nie są to wiarygodni partnerzy.

Po prostu nie ufamy im. Z kolei ukraiński Metinvest stracił ostatnio impet w negocjacjach z syndykiem. Najbardziej zaawansowane rozmowy są prowadzone z Węglkokoksem i wszystko wskazuje, że

to właśnie ta spółka wydzierżawi Hutę, uruchomi produkcję, a później stanie do przetargu, by kupić nasz zakład – przewidywał Robert Gonera, szef „S” w Hucie Częstochowa, dodając, że sytuacja jest dynamiczna i decyzje mogą zapaść w każdej chwili.

cyjnych i zainwestować w budowę drugiej linii obróbki cieplnej. Dzięki temu zakład będzie w stanie wytwarzać więcej jakościowej blachy, która jest flagowym produktem hutniczym.

– Mamy nadzieję, że Węglkokoks jako firma państwowa będzie uprzywilejowana przy zamówieniach publicznych – infrastrukturalnych, wojskowych czy tych związanych z OZE. Dziś blachę zbrojeniową sprowadzamy z Danii, a Dania walczy o tę blachę ze słabów sprowadzanych z Rosji. Co więcej, głównym dostawcą stali do Polski jest Ukraina. Oczekujemy, że nasze państwo postawi jednak na polski przemysł. To z jednej strony pozwoli utrzymać miejsca pracy i zwiększy wpływy z podatków do budżetu. A z drugiej strony, za-

sytuacja innego zakładu, który w przeszłości był częścią Huty Częstochowa. Chodzi o oddział Rurexpol, który obecnie należy do firmy Alchemia S.A. W ubiegłym tygodniu, 4 listopada, zarząd spółki podjął decyzję o zamiarze rozpoczęcia procesu likwidacji oddziału Rurexpol w Częstochowie.

Wśród przyczyn wskazywano na przewidywalną utratę zdolności do konkurencyjności na rynku, która wynika z braku popytu na wyroby Rurexpolu, przestarzałej technologii produkcyjnej oraz wysokich kosztów utrzymania zakładu i perspektywy ich dalszego wzrostu.

Oznacza to, że do lutego 2025 roku na bruk może trafić blisko 260 pracowników walcowni. Zakład najprawdopodobniej podzieli los Walcowni Rur „Andrzej” w Zawadzkiem, która także należała do Alchemii z grupy Boryszew. Pracę na Opolszczyźnie straciła cała załoga, łącznie 433 osoby.

Czytając takie informacje, żaden z pracowników częstochowskiej Huty nie może z optymizmem patrzeć w przyszłość. Związkowcy mają jednak nadzieję, że ich zakład nie podzieli losów wspomnianych walcowni.

– Na ten moment nasz zakład jeszcze nie został uratowany. Są na to duże szanse, ale nie ma jeszcze finalnych rozstrzygnięć. Dopóki nie zobaczymy podpisów, dopóki nie zobaczymy gotowych umów, to jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że zmierzamy w dobrym

kierunku. Cieszą nas deklaracje Węglkokksu, że chcą wznowić produkcję i wykorzystać nasz potencjał zgodnie z przeznaczeniem, ale nie chcemy składać ludziom obietnic. Czekamy na najważniejszy krok, czyli podpisanie umowy dzierżawy i wznowienie produkcji – podsumował Robert Gonera. **S**



Oczekujemy, że nasze państwo postawi na polski przemysł. To pozwoli utrzymać miejsca pracy, zwiększy wpływy z podatków i zagwarantuje nam niezależność.

ROBERT GONERA,
przewodniczący „S” w Hucie Częstochowa

Patriotyzm gospodarczy

Solidarność postrzega Węglkokoks jako spółkę, która „ratuje im skórę” i daje nadzieję na szybkie wznowienie produkcji. Związek ma jednak pewne obawy. Związkowcy nie są pewni, czy państwowa

spółka posiada wystarczający kapitał na przeprowadzenie w Hucie dużych inwestycji. Po drugie, Węglkokoks nie ma doświadczenia w handlu grubą blachą i musiałby „przecierać szlaki na europejskich rynkach”.

Związkowcy z Solidarności twierdzą, że częstochowska Huta powinna dążyć do podwojenia mocy produk-

ZWIĄZKOWCY NIE SĄ PEWNI, CZY WĘGŁKOKKS POSIADA WYSTARCZAJĄCY KAPITAŁ NA PRZEPROWADZENIE W HUCIE DUŻYCH INWESTYCJI.

gwarantuje nam niezależność od zagranicznych eksporterów i losowych zdarzeń, jak dajmy na to zablokowanie Kanału Sueskiego – wskazywał przewodniczący Gonera.

Upadek Rurexpolu

O tym, jak niepewna jest sytuacja w sektorze stalowym, może świadczyć



Tadeusz Płużański

Polacy potrzebują batoga

15 listopada 1907 r. w Jettingen w Bawarii urodził się Claus von Stauffenberg, pułkownik Wehrmachtu, oficer niemieckiego sztabu generalnego. W lipcu 1944 r. dokonał w Wilczym Szańcu w Prusach Wschodnich nieudanego zamachu na przywódcę III Rzeszy Adolfa Hitlera.

„Mimo że ukończył Pan Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego, chcielibyśmy przypomnieć Panu antypolskie wypowiedzi i działania tego człowieka, którego jedynym pozytywnym czynem była nieudana próba zamachu na Adolfa Hitlera już po faktycznej klęsce militarnej Rzeszy Niemieckiej u końca II wojny światowej” – list takiej treści do Bronisława Komorowskiego napisała w lipcu 2015 r. Reduta Dobrego Imienia, wzywając prezydenta (podkreśliły od razu, że nieskutecznie) do rezygnacji z uczestnictwa w uroczystościach ku czci Clausa von Stauffenberga w Niemczech.

Dalej czytaliśmy, że Stauffenberg, jako oficer Wehrmachtu, wziął czynny udział w ataku na Polskę w 1939 r. To już wystarczający powód, aby prezydent RP (ktokolwiek by nim był) nie czcił takiego człowieka. Ale pójdźmy dalej. Już 4 września 1939 r. w liście do żony Niny ten niemiecki bohater pisał o Polakach: „miejscowa ludność to niewiarygodny motłoch, bardzo dużo Żydów i mieszanów. Wokół czuje się nadzwyczajną nędzę. Jest to naród, który, aby dobrze się czuć, najwyraźniej potrzebuje batoga. Tysiące jeńców przyczynią się na pewno do rozwoju naszego rolnictwa. Niemcy mogą wyciągnąć z tego korzyści, bo oni [Polacy i Żydzi – red.] są pilni, pracowici i niewymagający”.

Czyli polski prezydent oddawał hołd rasiście, który siebie i naród niemiecki uważał za „wyższą rasę”, a Polaków i Żydów za podludzi. Chciał z nich zrobić niewolników i zapewne zamknąć w „polskich obozach koncentracyjnych”.

I tu dochodzimy do „bohaterskiego” punktu w historii przedstawiciela Herrenvolku – narodu panów, czyli zamachu na Hitlera w lecie 1944 r. Tylko jakie były jego motywy? Czy chęć wyrównania krzywd dokonanych przez tzw. nazistów, czyli Niemców? Czy to, co nas, Polaków, powinno najbardziej przejmować, czyli zadośćuczynienie dokonanej na nas ludobójstwu, planowanej likwidacji przede wszystkim polskiej inteligencji? Nic z tych rzeczy. Stauffenberg pragnął utrzymać niemieckie zdobycze wojenne i mocarstwową pozycję Niemiec. Z taką korektą, że już bez Hitlera.

Z ówczesnych uroczystości ku czci Stauffenberga, które odbyły się w Berlinie, Niemcy i świat po raz kolejny dowiedzieli się, że głównie (jeśli nie tylko) w Niemczech w czasie II wojny światowej istniał znaczący antyhitlerowski ruch oporu. To oczywiście kłamstwo, które Bronisław Komorowski postanowił firmować. Tak jak porównanie prezydenta, że Stauffenberg był jak powstańcy warszawscy.

Szczęśliwie podejście do historii w Polsce się zmieniło. Ale w walce z nazistami – broń Boże, nie mylić z Niemcami – Claus von Stauffenberg wciąż jest mocny. To on jest bohaterem wysoko nakładowych filmów i to jego podnosi się do rangi europejskiego bohatera. I ma ten uniwersalny „walor”, że nie walczył z komunistami. Inaczej niż prawdziwy, wielki bohater walki z Niemcami i komunistami – rotmistrz Witold Pilecki. **S**

PRAWO

KUPIŁEM ZEPSUTE AUTO I CO TERAZ? Jak odzyskać pieniądze za wadliwy samochód?

Kupiłem samochód od osoby prywatnej 3 lipca br. Sprzedawca zapewniał, że auto jest w pełni sprawne i nie ma żadnych usterek czy wad. Jednak podczas przeglądu 29 października okazało się, że pojazd jest w bardzo złym stanie technicznym i nie powinien być dopuszczony do ruchu. Czy mogę w jakiś sposób unieważnić tę umowę lub ubiegać się o zwrot pieniędzy od sprzedawcy? Jakie mam opcje?

| Tomasz Oleksiewicz, radca prawny |

Kupując samochód od osoby prywatnej, masz prawo skorzystać z przepisów o rękojmi, czyli odpowiedzialności sprzedającego za wady towaru, które istniały w momencie zakupu. W skrócie, jeśli auto nie jest w takim stanie, w jakim było opisane przez sprzedawcę, masz prawo domagać się naprawy szkody. Jeśli podczas przeglądu okazało się, że samochód ma poważne usterki, które uniemożliwiają jego bezpieczne użytkowanie, to najprawdopodobniej masz do czynienia z wadą ukrytą. Oznacza to, że wada ta była obecna już w momencie zakupu, ale Ty jej nie zauważyłeś ze względu właśnie na to, że była ukryta. W takim przypadku możesz wystąpić do sprzedawcy z roszczeniem, czyli żądaniem naprawy, obniżenia ceny, a nawet zwrotu pieniędzy. W przypadku zakupu używanego pojazdu sprzedawca odpowiada z tytułu rękojmi, jeżeli wada fizyczna zostanie stwierdzona przed upływem dwóch lat. Rękojnia obowią-

zuje zarówno w przypadku zakupu od przedsiębiorcy, jak i osoby prywatnej. Ważne jednak, abyś nie zwlekał zbyt długo i zgłosił problem niezwłocznie, czyli jak najszybciej po tym, jak się o nim dowiedziałeś. Jeśli zgłosisz wadę szybko, masz większe szanse na pozytywne załatwienie sprawy.

Żeby skutecznie dochodzić swoich praw, warto zebrać dowody. Najlepiej zdobyć pisemny raport diagnostyczny z przeglądu, który jasno opisze problemy techniczne pojazdu. Dobrze jest również skonsultować się z rzeczoznawcą motoryzacyjnym, który potwierdzi, że te usterki istniały już w dniu zakupu. Im lepiej udokumentujesz stan pojazdu, tym większe masz szanse na odzyskanie pieniędzy. Następnie powinienes napisać do sprzedawcy wezwanie, w którym powołasz się na rękojmię i zażądaś naprawy samochodu, obniżenia ceny lub zwrotu pieniędzy. Daj sprzedawcy konkretny termin na odpowiedź, na przykład

7 czy 14 dni. To ważne, aby wszystko mieć na piśmie, bo jeśli sprawa trafi do sądu, będzie to dowód, że próbowałeś załatwić sprawę polubownie.

Jeżeli sprzedawca odmówi naprawy lub zwrotu pieniędzy, możesz rozważyć pozew sądowy. W takim przypadku warto skontaktować się z prawnikiem lub rzecznikiem konsumentów, którzy pomogą Ci przygotować dokumenty i dochodzić swoich praw. Sąd może zasądzić od sprzedawcy zwrot pieniędzy, jeśli okaże się, że rzeczywiście sprzedał wadliwy pojazd i wady te istniały już w momencie zakupu.

Podsumowując, masz prawo żądać naprawy, obniżenia ceny lub zwrotu pieniędzy, jeśli samochód okazał się wadliwy. Kluczem jest szybkie działanie, zebranie dokumentów i zgłoszenie sprzedawcy problemu w odpowiedni sposób. Jeśli sprzedawca nie będzie chciał współpracować, możesz dochodzić swoich praw na drodze sądowej. **S**

ZNACZENIE ŚLUBOWANIA W STOSUNKU PRACY

Według słownikowego znaczenia słowo „ślubowanie” oznacza uroczyste zobowiązanie się do czegoś, polegające na publicznym wypowiedzeniu ustalonego tekstu. Na ślubowanie składają się zatem dwa elementy. Pierwszym jest złożenie oświadczenia, które dotyczy przyjęcia na siebie określonego zobowiązania (tekst ślubowania określa się jako rota), a drugim fakt, że owe oświadczenie ma charakter publiczny, czyli składane jest wobec zewnętrznych podmiotów (a nie np. w duchu). Współcześnie synonimem ślubowania jest w dużej mierze słowo „przysięga”.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

WYDAJE SIĘ, ŻE KONSTRUKCJA ŚLUBOWANIA KOJARZY

się przede wszystkim z innymi płaszczyznami niż prawo pracy. Przede wszystkim ślubowanie poprzedza objęcie określonych stanowisk w szeroko pojętej strukturze państwa, i to poczynając od stanowiska prezydenta RP, przez prezesa Rady Ministrów, ministrów, posłów, aż po wójtów (burmistrzów, prezydentów miast) czy radnych gminy. Ponadto (choć czasami jako przysięga) jest utożsamiane z różnymi służbami mundurowymi, np. wojskiem, policją czy strażą pożarną, oraz z niektórymi zawodami zaufania publicznego, takimi jak adwokaci, radcowie prawni czy notariusze. Co więcej, nie sposób nie zauważyć, że współcześnie niestety można zaobserwować, że w codziennym życiu nawet publicznie składane zobowiązania coraz częściej nie są dotrzymywane (czego skrajnym przykładem są różnorodne obietnice wyborcze). Można byłoby zatem postawić pytanie, czy w prawie pracy ślubowanie występuje, a nawet jeśli tak, to jakie ma ono znaczenie.

Okazuje się jednak, że odpowiedź na pierwsze z nich jest pozytywna. Otóż ślubowanie funkcjonuje w prawie pracy i to wcale nie tak rzadko. To, co należy jednak podkreślić, to fakt że nie przewiduje go najpowszechniejszy akt tej gałęzi, czyli Kodeks pracy. Innymi słowy, pracownicy, których zatrudnienie reguluje sam kodeks, rzeczywiście nie składają ślubowań. Jednakże wiele grup zawodowych objętych jest ustawami szczegółowymi, które już wymóg złożenia ślubowania przewidują. Jako przykłady można tu wskazać chociażby pracowników samorządowych zatrudnianych na stanowiskach urzędniczych, kuratorów sądowych czy sędziów. W ich wypadku ślubowanie poprzedza rozpoczęcie pracy, więc jest obowiązkowe dla każdego pracownika z wymienionych grup. Nieco inaczej wygląda sytuacja takich grup zawodowych jak nauczy-

ciele, kontrolerzy NIK, inspektorzy pracy czy urzędnicy służby cywilnej. W ich przypadku ślubowanie następuje nie tyle w momencie nawiązania stosunku pracy w danej formacji, ile z chwilą osiągnięcia określonego stopnia rozwoju zawodowego. Przykładowo, w przypadku nauczycieli akt ślubowania składa się nie z chwilą podjęcia pracy w zawodzie, ale przy nadawaniu stopnia nauczyciela mianowanego.

Co do znaczenia ślubowania należy wskazać, że w stosunku do niektórych grup zawodowych ustawy wprost przewidują, że odmowa jego złożenia powoduje wygaśnięcie stosunku pracy, co przykładowo dotyczy urzędników służby cywilnej oraz urzędników samorządowych.

Innym rozwiązaniem jest przyjęcie, że niedochowanie roty ślubowania może stać się podstawą do wszczęcia procedury odpowiedzialności dyscyplinarnej. W obu wypadkach oznacza to, że ustawodawca,

decydując się na posłużenie się w stosunku do określonych grup zawodowych konstrukcją ślubowania, nie traktuje tego aktu wyłącznie jako symbolu, ale łączy z nim konkretne oczekiwania, których niespełnienie wywołuje bardzo daleko idące negatywne konsekwencje. **S**

NIEDOCHOWANIE
ROTY ŚLUBOWANIA
MOŻE STAĆ SIĘ
PODSTAWĄ DO
WSZCZĘCIA
PROCEDURY
ODPOWIEDZIALNOŚCI
DYSCYPLINARNEJ.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy śłać na adres redakcja@tygodniksolidarnosc.com (w tytule wiadomości należy wpisać „prośba o poradę prawną”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.



Z ARCHIWUM **Tomasza Gutrego**

Basia: – Rozmawiamy w dniu, w którym Donald Trump (już niemal na pewno) wygrał wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych.

Tomek: – I to z jaką przewagą! Ile dostał głosów elektorskich?

– Według dzisiejszych doniesień niemal trzysta. Tak, rzeczywiście w porównaniu do poprzednich, dość kontrowersyjnych (pamięta Pan?) wyborów Trumpa w 2016 roku, teraz prowadzi zdecydowanie większą liczbę głosów.

– Prezentujemy zdjęcie, które nawiązuje do tego tematu. Widać na nim polską i amerykańską flagę. Zrobiłem je w Tatrach, z góry.

– **Kiedy to było?**

– Równe 20 lat temu, w 2004 roku.

– **Wtedy prezydentem w Stanach był George W. Bush. No, a co Pan myśli o tegorocznych wyborach w USA?**

– Donald Trump to na pewno dobry wybór. Mam nadzieję, że wpłynie na to, że i w Polsce zapanuje porządek w polityce.

Rozmawiała Barbara Michałowska **S**





Nasi autorzy

Marcin Darmas (Nostalgia..., s. 46), socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie” (Wydawnictwo UW, 2019).

Monika Małkowska (Pod pozorem..., s. 18), jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzecz-

pospolitą”, radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna”, w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Sebastian Reńca (Byłem sam..., s. 52), pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Świadek” ukazała się w roku 2021 (wydawnictwo LTW). Jest to historia dziennikarza śledczego próbującego

rozwikłać zagadkę tajemniczego zaginięcia swego przyjaciela, który w latach 90. badał m.in. w sprawę strzałów kopalni „Wujek”.

Tomasz Winiarski (Wielki..., s. 40), dziennikarz od spraw amerykańskich, korespondent telewizyjny i radiowy. Współprowadzący kanał „(Nie) Poprawny Dyplomata”.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność” można zamówić na cztery sposoby:

- 1) Bezpośrednio u wydawcy „TS” – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com, numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
- 2) w wersji elektronicznej przez: tysol.pl;
- 3) „RUCH” SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
- 4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny



Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL